



nurzenie
w odnowie

4-5



figlarna
ortografia



niechciany
laureat



kronika
towarzysko
rodzinna

11

KONTAKTY

ŁOMŻYŃSKI TYGODNIK SPOŁECZNY • PISMO PZPR

34

(61)

KONTAKTY

30.08.1981

Cena 6 zł



z cyklu: szanujmy wiedzę przodków

Rysunek Andrzeja Podulki

sztuka odchodzenia

PATRZ — STR. 3

nikt za darmo chleba nie da

O współzyciu z „Solidarnością”, przyjmowaniu i odprowadzaniu interesantów z kwitkiem oraz życiu domowym — z wicewojewodą łomżyńskim, mgr inż. Wacławem Redlińskim — rozmawia Stanisław Zieliński.

STANISŁAW ZIELIŃSKI: — Przed chwilą miał Pan bardzo krzykliwego interesanta. Przypadek to czy reguła?

WACŁAW REDLIŃSKI: — Przypadek w czasach dostatku, reguła w obecnym okresie, a już superreguła w miastach, kiedy w gminach odbywa się rozdzielanie sprzętu.

S.Z.: — Jaki charakter mają te interwencje?

W.R.: — Skarżą się na naczelnika i komisję dokonującą podziału. Jedni narzekają, że jeszcze od Polski Ludowej niczego nie dostali, inni, że tylko np. ciągnik, a posiadacze wszystkich maszyn lamentują: „Panie wojewodo, tyle pieniędzy wydałem na mechanizację gospodarstwa i nie mogę z niej korzystać. Tak rządzą krajem, że nie ma nawet najprostszyc części zamiennych”. Rolnik, który stąd przed chwilą wyszedł, powiedział: „Naczelnik Urzędu Gminy jest dobry, bo przyznał mi ciągnik, ale ta komisja, która teraz dzieli, to kupa baranów. Oni uchwalili, że kto ostatnio dostał jakąkolwiek maszynę, nie może otrzymać następnej. A ja snopowiązałki potrzebuję na gwałt!”

S.Z.: — Jak przynajmniej większość zadowolili?

W.R.: — Łomżyńskie dysponuje 3 proc. ziemi uprawnej kraju, a otrzymuje na nią 4-7 proc. całej puli maszyn. Nie jest to mało, ale nikt nie widzi postępu, każdy natomiast — braki. Mówią: „Redliński śpi, Łomżyńskie jest upośledzone”, a przecież nigdy dotąd tylu maszyn do podziału to województwo nie otrzymywało.

S.Z.: — Skąd ta ostra batalia o sprzęt i ten powszechny, potęgający się, głód maszyn?

W.R.: — Wieś wyludniła się, postarzała. Zakres usług jest niewielki.

CIĄG DAJSZY NA STR. 6-7



„IX ZJAZD OPRACOWAŁ nowy statut partii; przystąpmy więc do jego rzetelnego wprowadzania w naszych wewnątrzpartyjnych działaniach. Zadbajmy o to, by podstawowe dokumenty Zjazdu znane były nie tylko członkom partii, ale całemu społeczeństwu – powiedział na naradzie aktywny polityczno-gospodarczy woj. łomżyńskiego I sekretarz KW, Włodzimierz Michaluk.

Nie poprawimy nastrojów społeczno-politycznych, jeśli nie zahamujemy tendencji spadkowej w ekonomice, nie przeciwstawimy się skutecznie procesowi rozprężenia w gospodarce, a tym samym i na rynku. Otuchy dodaje sytuacja w rolnictwie. Wydaje mi się jednak, że w aktualnym położeniu – tak wielkich niedoborów żywności – sprawa zbiorów i przetworzenia produktów rolnych winni interesować się nie tylko sami rolnicy. We wszystkie działania należy włączyć ogólną samorządów wiejskich, zarządy kolekt rolniczych i „Solidarności” wiejskiej.

W trakcie dyskusji mówiono, między innymi, o potrzebie włączenia się organizacji partyjnych w tworzenie samorządu robotniczego, szerszego wyjścia z własną inicjatywą bez czekania na dyrektywy, zwrócono uwagę na niedomogi pracy propagandowej w zakładach oraz podkreślono konieczność obrony linii porozumienia społecznego. Na zakończenie, w związku z proklamowaniem przez NSZZ „Solidarność” w dniach 19 i 20 sierpnia „dni bez prasy”, uczestnicy narady podjęli rezolucję wyrażającą protest przeciwko akcjom Związku, ograniczającym dostęp społeczeństwa do informacji.

XV ZLOT „PAMIĘCI WRZESNIA – 1939” organizuje w dniach 12–13 września PTTK oraz WZS Spółdzielczości Pracy „Start” w Łomży. W programie Złotu, który odbędzie się w Wiźnie, m.in. biegi przełajowe i sztafetowe, strzelanie z kbks-u i pistoletu pneumatycznego, konkurs „Wrzesień 1939”; za zajęcie pierwszych miejsc – nagrody oraz punkty na odznakę turystyki kwalifikowanej. W Zlocie może wziąć udział – w wybranej przez siebie dyscyplinie (rajdzie pieszym, kolarskim, motorowym lub spływie kajakowym) – każdy, kto do 8 września nadesłanie indywidualne lub zbiorowe zgło-

szenie pod adresem: PTTK, ul. Giełczyńska 1, 18-400 Łomża.

W **ROCZNICE SIERPNIA** Komisja Zakładowa NSZZ „Solidarność” przy ŁZPB „Narew” zorganizowała wystawę fotograficzną, obrazującą ostatnie wydarzenia w Warszawie i Łodzi. Tę interesującą ekspozycję kilkudziesięciu czarno-białych zdjęć mogli obejrzeć również mieszkańcy miasta.

NIE WSZYSCY UCZNIOWIE pojawiają się pierwszego września z kompletem książek i przyborów szkolnych. Wykreślenie z planu wznowień ponad 40 tytułów, brak 40 pozycji zamówionych podręczników, bloków rysunkowych i technicznych, zeszytów powyżej 16 kartek – to „oferta” rynku na kilka dni przed rozpoczęciem roku szkolnego.

„WSZYSTKO DLA DZIECI” – to hasło imprezy, jaką przed rozpoczęciem roku szkolnego zorganizował, wspólnie z Zarządem Zakładowym ZSMP przy Zakładach Płyt Wiórowych, Miejsko-Gminny Dom Kultury w Grajewie. Dzieci uczestniczyły w zawodach i konkursach z nagrodami, a na „Jarmarku” sprzedawały, kupowały i wymieniały książki, zabawki, sprzęt sportowy, ubiory itp.

W **ŁOMŻYŃSKIEJ SPÓŁDZIELNI** Mleczarskiej zakończyli praktykę robotniczą studenci Uniwersytetu im. Humboldta w Berlinie. Dwunastu przyszłych filozofów, historyków i prawników przez trzy tygodnie wykonywało roboty ziemno-budowlane w osiedlu Południe. Prezes LSM, Jan Poreda, dziękując studentom powiedział, że ich rzetelny stosunek do pracy w czasie praktyki jest dobrą lekcją dla wielu pracowników Spółdzielni.

REGLAMANTACJA MASŁA – przy zachowaniu dotychczasowych

norm – zostanie utrzymana do końca bieżącego roku.

PERSONALIA. W Andrzejewie, w tajnym głosowaniu, wybrano nowego sekretarza KG PZPR. Została nią towarzysząca Janina Arcimowicz (29-letnia absolwentka WSNS-u), która pełniła dotąd obowiązki inspektora wydziału organizacyjnego KW w Łomży.

PYTANIE DRAŻLIWE.

— Dlaczego, pomimo tak wielkich niedoborów przetworów mlecznych na rynku, znaczne ilości mleka przeznaczone są do produkcji kazeiny?

Odpowiada zastępca prezesa Wojewódzkiej Spółdzielni Mleczarskiej, Lech Karendy: — Rozwińcie wiele nieporozumień, gdy wyjaśnię od razu, że z mleka przeznaczonego na kazeinę nie wyprodukuję się dodatkowo ani grama masła, sera czy śmietany. Jest to mleko odtłuszczone. Po przetworzeniu na proszek lub w postaci naturalnej może być wykorzystane jedynie jako pasza. Niestety, wieś nie jest w stanie odebrać od nas tak dużych ilości, a nasze zakłady nie mogą go w całości przeobrazić na proszek, z powodu ograniczonych mocy przetwórczych. Produkujemy więc kazeinę, i to tylko w okresie dostaw szczytowych (wiosną i latem), z konieczności. Dla mleczarstwa jest to produkcja zupełnie nieopłacalna.

STRAJK PRASOWY drukarzy, który objął pisma codzienne, nie przyniósł uszczerbku naszemu tygodnikowi. „Kontakty” – jak zawsze – ukazywały się w kioskach we czwartek. Drukarzom za staranne wydanie naszego pisma – dziękujemy. Dziękujemy również paniom kioskarkom za sprawne rozprowadzenie w tych dniach naszego tygodnika. Tylko incydentalnie czytelnicy spotykali się z odmową

sprzedaży. Organa MO w trzech przypadkach uznały za konieczne skierowanie sprawy do kolegium w trybie przyspieszonym, gdyż w dwóch kioskach, prócz prasy, były ukryte i inne towary. Czy nie wystarczyłoby upomnienie?

MYŚL Z ATESTEM: „Kto raz przekroczy miarę, dla tego nie ma już barier” (Epiktet).

Za tydzień „Kontakty” w normalnej objętości

WSZYSTKIM, którzy pomagali nam w staraniach o utrzymanie dotychczasowej objętości pisma – kierownictwu KW PZPR, członkom podstawowych organizacji partyjnych i społecznym – serdecznie dziękujemy. Już od następnego numeru „Kontakty” będą się ukazywać, jak dotąd, na 16 kolumnach.

Co dalej po IX Zjeździe?

JERZY BEDNARZ, sekretarz POP w Zakładzie Przetwórstwa Owocowo-Warzywnego w Wysokiem Mazowieckiem: — Realizację uchwał IX Nadzwyczajnego Zjazdu Partii widzimy w tym, aby jak najwięcej dać żywności na rynek. Od początku sezonu pracujemy non stop, przez wszystkie soboty i niedziele. Przerabiamy surowiec, który do nas napływa, dla kraju i na eksport. Dyrekcja, POP oraz związki zawodowe podjęły decyzję, by przeprowadzić w sezonie wolne dni dołożyć do urlopu lub wykorzystać je w okresie zimowym.

JÓZEF SKŁODOWSKI, I sekretarz KG PZPR w Piekutach Nowych: — Jak na razie, realizacja postanowień IX Zjazdu nie wygląda imponująco. Borykamy się z elementarnymi sprawami, np. z piekarnią w Szepietowie. Chleb dowozi różnie i nie zawsze go wszystkim mieszkańcom wystarcza. Rozmawiałem z prezesem GS-u, skarży się na brak maki. Jedynym wyjściem z tego impasu byłoby wzmocnienie dyscypliny i umożliwienie gminom rozbudowy własnego przemysłu przetwórczego; myślę tu przede wszystkim o piekarniach. Nie muszą być gigantami, aby mogły zaspokoić potrzeby kilkunastu wsi. Wiele interwencji podejmowaliśmy w sprawie budowy Domu Nauczyciela. Wykonawcą jest OBM w Ciechanowcu. Obiekt miał być pod koniec sierpnia w stanie surowym, ale to już byłby piąty sierpień!

WITOLD KOCH, I sekretarz Komitetu Gminnego PZPR w gminie Nur: — Realizację uchwał IX Zjazdu należy rozpocząć od dokładnego przestudiowania ich treści. Na razie chłopcy kończą żniwa, zaczyna omloty i wykopki. Wykładnię zadań zjazdowych rozpoczniemy chyba dopiero zimą.

„Starcia” – Klub Dyskusyjny „Kontaktów”

„STARCIA” – Klub Dyskusyjny „Kontaktów” – zaprasza na nocny maraton: dyskusję pod hasłem „Kultura i kulisy władzy – sztuka odchodzenia” i łomżyńską premierę „Człowieka z żelaza”.

Już w najbliższy piątek (28.08., godz. 20.00 w kinie „Październik”) druga część dyskusji panelowej pod hasłem: „Kultura i kulisy władzy – sztuka odchodzenia”, zorganizowanej przez „Starcia” – Klub Dyskusyjny „Kontaktów” i WOKI.

W programie: Premiera filmu Andrzeja Wajdy „Człowiek z żelaza”. Panel prowadzony przez red. Klemensa Krzyżagórskiego („Prasa Polska”) z udziałem doc. dr Winicjusza Narojka (Instytut Socjologii i Filozofii PAN), dr Jacka Tarkowskiego (UW), doc. dr Andrzeja Piekary (UW).

Pierwszeństwo wstępu mają osoby dysponujące zaproszeniami.

punkt widzenia ciocie łowią płocie

Nie wiem, czy ciocia jest jedna, czy są one trzy, czy też jedna w trzech osobach. Trudno połapać się w liczbie ciotuniek, skrytych za kryptonimem G.B.F. Lecz sedno sprawy tkwi w czym innym. Otóż ciocie poczuły się urażone poczynaniami wujka Stefana i wymierzyły mu kilka siarczystych klapsów w tekście za tytułowanym: „Krótka historia o błogosławieństwie dla cudownej sieci wujka Stefana”, zamieszczonym w „Kontaktach” z dnia 9 sierpnia br. Wujek Stefan został zbesztany, że śmiał bez ciotczyńskich przyzwoleń wydrukować „Projekt ustawy o przedsiębiorstwie społecznym”, opracowany przez Sieć Organizacji Zakładowych NSZZ „Solidarność”. Wujek Stefana robi za pochyłe drzewo, jest bezustannie karcony i stawiany do kąta przez ciocie.

Ród ciotek ma to do siebie, że korzysta ze wspólnych słowników, w których słowo „magma” oznacza „blo-t”, a wszystko co kojarzy się z gospodarką opartą o prawa ekonomii i zdrowy rozsądek, umieszczone jest

w tych leksykonach pod hasłem „herezje”.

Nie dociekam twardości głów szanownych cioteczek, za to jestem przekonany co do miękkości ich serc. Ciocie wyczytały w swoim „słowniczku”, że „[...] robi się przedsiębiorstwom darowizny, rozdając im na własność nasz wspólny majątek ogólnonarodowy i przedsiębiorstwa mogą robić z nimi, co chcą [...]”. I jak tu nie ronić rzewnych łez wraz z ciotkami, gdy wujek współ z mafiosami z Sieci rozdrapuje nasz wspólny majątek? Mniejsza o to, że dotąd nie był to „nasz” majątek, a do tego – wspólny. Ciocie nie lubiły się z nikim dzielić, a teraz przyjdą „oni” i zagarną do kieszeni tokarki, dźwigi, biurka i liczydła, do tego przegonią pałętających się po samorządzie działaczy młodzieżowych, LOK-u, TPPR-u, Ligi Kobiet itd. Żeby tylko. Zmienia dyrektorów, zmusza piekarzy do zmiany zawodu na jubilerski i będą się paść kosztem biednych województw, które przekształca w swoje kolonie.

Wujek Stefan naciął się na ciocie.

Sądził, że wszystkich omami, ale one przejrzały jego machinacje. Ciotule czuwają. Zmyły wujkowi głowę, zastrachanych dyrektorów przytuliły do ciotczyńskich serc, osłoniły swymi ciałami zakłady produkujące na potrzeby mieszkańców... planety Jowisz.

Trywialne zarzuty, stawiane wujkowi, zdradzają, że nauk ekonomicznych nie pobierały ciocie u Oskara Langego, a przeszły jedynie przyspieszony kurs tercetu: Jaroszewicz-Wrzaszczuk-Gierek. Nie sposób polemizować z zacietrzewionymi ciotkami, które rzucają obelgami bez rzeczowej argumentacji. Sprawa jest zbyt istotna, by zbywać ją felietonowymi harcami. Ciocie naigrywają się z wujka, że wzruszył się inicjatywą Sieci. Wujek wzrusza się, ale trzeźwo spostrzega: „Projekt sieci nie »zatłuszcza« problemu, ale stanowi NAJLEPSZY PUNKT WYJŚCIA DO DALEJSZEJ DYSKUSJI [...]”. Niech ciocie nie wmawiają wujkowi choroby i posłuchają, co on ma do powiedzenia na temat złodziejskich zakusów Sieci: „Przedsiębiorstwo [...] jeśli przejmie majątek ogólnonarodowy [...] musi być jasne, czy przejmuje na własność, w dzierżawę czy powiernictwo [...]”. Tę nieprecyzyjność sformułowania wyeliminowali sami autorzy, nanosząc do projektu ustawy autopoprawkę: przedsiębiorstwo społeczne dysponuje, powierzona mu przez organ założycielski,

częścią ogólnonarodowego mienia. Załoga tylko zarządza przedsiębiorstwem przez swe organy samorządowe. Właścicielem jest całe społeczeństwo.

Nie wiem, czy ta formuła zadowala ciotuchny, które przywykły do innego systemu, a wiadomo: przyzwyczajenie jest drugą naturą człowieka.

System nakazowo-rozdzielczy, funkcjonujący do tej pory w Polsce i przemycany nadal w projektach rządowych o przedsiębiorstwie i samorządzie, jest bliższy ciotuchnom, gdyż bliżsi im są owi bezmyślni dyrektorzy, udający zakrzatanie pracowników zjednoczeń i „placzący” się działacze, czyli krewni i znajomi ciotek.

Projekt Sieci niweczy centralistyczną strukturę zarządzania, uniemożliwia obsadzenie odpowiedzialnych stanowisk przez ignorantów; obala – rozdęty do monstrualnych rozmiarów – gmach biurokracji; uspołecznia majątek zagarnięty przez supermonopol – państwo. To, za czym gardlują ciocie, jest dokładnym przeciwieństwem założeń projektu.

Jeżeli ciocie uparły się łowić płocie na leszczynowe kijki w sadzawce zatrutej wszelkimi możliwymi paskudztwami – proszę bardzo. Ja idę z wujkiem Stefanem zarzucić sieci na grube ryby.

ADAM JERZY SOCHA



sztuka odchodzenia

Prezentujemy dziś plan pierwszej części dyskusji pod hasłem „Kultura i kulisy władzy — sztuka odchodzenia”, zorganizowanej przez redakcję „Kontaktów” i Wojewódzki Ośrodek Kształcenia Ideologicznego. W dyskusji — prowadzonej przez doc. dr Michała Gnatowskiego — wzięły udział osoby, dla których hasło tytułowe mocno wiąże się z ich własnymi życiowymi doświadczeniami: Helena Robińska — była sekretarz KM w Kolnie, Marek Kaczanowicz — były sekretarz KG w Andrzejewie, Jan Walecki — były sekretarz KZ w ŁZPB „Naraw”, Aleksander Jankowski — sekretarz KW PZPR, Henryk Gała — literat, członek ZLP, dr Antoni Chojnowski — dyrektor Wydziału Zatrudnienia i Spraw Socjalnych UW, prezes Towarzystwa Przyjaciół Łomży, Roman Engler — przewodniczący ZM ZSMP w Łomży.

Druga część panelu, wraz z pokazem filmu Andrzeja Wajdy „Człowiek z żelaza” i udziałem wybitnych specjalistów, m.in. red. Klemensa Krzyżagórskiego („Prasa Polska”), doc. dr Winicjusza Narojka (Instytut Socjologii i Filozofii PAN), doc. dr Andrzeja Piekary (UW) oraz dr Jacka Tarkowskiego (socjologa z Warszawy), odbędzie się w najbliższych dniach.

MICHAŁ GNATOWSKI: — Sądę, że na początek, zamiast wstępu, bardziej pomocne będzie postawienie sobie trzech zasadniczych pytań, a mianowicie: co jest podmiotem kultury politycznej, jak z punktu widzenia nauki należałoby na tę problematykę spojrzeć, jak ma się to w odniesieniu do rzeczywistości?

Otóż w obecnych, jakże burzliwych, czasach wywoławczy dla naszych rozważań termin „kultura polityczna” obejmuje, moim zdaniem, problem zarówno stosunku obywatela do władzy, jego dążenia do udziału we współrządzeniu i kontroli jej poczyną, jak również, występującą z olbrzymią siłą, wolę samorządności, sposób funkcjonowania samej władzy i wartości, którym powinna ona służyć. Podmiotem kultury politycznej — generalnie rzecz biorąc — są zatem po prostu: władza i społeczeństwo; ona sama zaś jest jednym z elementów kultury w ogóle.

Z tak szeroko sygnalizowanego zagadnienia proponuję skupić się nad kwestią samego sprawowania władzy. Jest to bowiem, zwłaszcza obecnie, zagadnienie niezmiernie istotne choćby dlatego, iż w całym 36-leciu sprawowanie przez poszczególne gremia kierownicze kończyło się zawsze ostrym kryzysem społecznym, a następnie — wymianą ekipy. I choć odpowiedź na pytanie: dlaczego tak się działo? — przewinęła się ostatnio w dość bogatej dyskusji, warto chyba pokusić się o sformułowanie pewnych, zasadniczych przynajmniej, tez.

Po pierwsze — dzieje się tak dlatego, iż cechą naszego dotychczasowego systemu był jego niedowład strukturalny. Po drugie — poszczególne gremia kierownicze nie dotrzymały nigdy do końca zobowiązań wobec społeczeństwa. Wreszcie: nigdy do końca nie realizowano polityki, która kształtowała się w okresie przełomowym. Oczywiście, przyczyny takiego stanu rzeczy były każdorazowo różne, niemniej jedna wydaje się stała i niezwykle ważna: nigdy do końca nie rozliczona polityka wcześniejszego etapu ciążyła nad okresem następnym i hamowała wszelkie podejmowane przemiany. Mówiąc to mam na myśli — zgodnie z postulowanym wcześniej zawężeniem optyki — głównie brak konsekwencji w polityce kadrowej. Gdybyśmy bowiem uważnie przyjrzel się tylko naszej gospodarce, to okazałoby się, iż zmienił się jedynie wąski wierzchołek gospodarczych decydentów, ci natomiast, którzy przygotowywali ekspertyzy i plany, w większości byli tymi samymi osobami przez prawie całe ostatnie dwudziestolecie.

Chciałbym też zwrócić uwagę na znaczenie i rolę jednostki-przywódcy; rolę w tym wszystkim, co miało u nas dotąd miejsce, niebagatelną. Wszak nie bez powodu mówi się przecież o agrarystycznym socjalizmie Gomułki, o woluntaryzmie Gierki czy — jeszcze wcześniej — o stalinizmie. Sądę, iż powinniśmy się również zastanowić nad tym, dlaczego od sierpnia ubiegłego roku nowy ruch społeczny, a faktycznie związki zawodowe — traktują wła-

dę jako przeciwnika, od którego trzeba wywalczyć, zdobyć; z którym nie należy wchodzić w partnerskie układy tak długo, dopóki nie spełni wszystkich stawianych postulatów, nie rozwiąże wszystkich podnoszonych problemów. Wydaje mi się, że nie wnikając szerzej w słuszność owych żądań ani też w to, kiedy należy uznać, iż rewindykacje społeczne zostały już spełnione, możemy powiedzieć sobie jasno: władza nie będzie mogła tak długo wypełniać swoich funkcji, jak długo nie uzyska społecznego zaufania dla swych poczyną, a to nastąpić może jedynie wówczas, gdy jej przedstawiciele traktować będą swą działalność jako — mówiąc umownie — spełnianie usługi społecznej.

HENRYK GAŁA: — Jeśli chodzi



o ocenę sytuacji w tej, tu i teraz, chwili, wydaje mi się, iż jest ona na styku władza—społeczeństwo graniczna. Oto bowiem część społeczeństwa traktować zaczyna władzę jak okupanta: nie w sensie dosłownym, historycznym, lecz w sensie takiego jej pojmowania, jakby była reprezentantem sił sprzecznych w podstawowych celach z celami społeczeństwa. Towarzyszy temu jednocześnie — nigdy dotąd nie obserwowany — wzrost nienawiści, bezinteresownej agresji u ludzi. Natomiast genezy niemożności przeprowadzenia jakichkolwiek głębszych zmian, pomimo tylu ostrych, powtarzających się kryzysów, szukałbym w źródłach socjologicznego kształtowania się samego aparatu władzy; w tych latach, kiedy brak ludzi spowodował napłynięcie do wszelkich możliwych jej organów osób bez odpowiedniego przygotowania, których, niestety, niezależnie od zasięg, należało się pozbyć.



TADEUSZ OLEJNIK: — Padło tutaj stwierdzenie, dotąd chyba nie spotykane, iż władza, aby prawidłowo funkcjonować, musi zasłużyć najpierw na zaufanie. Mnie, przynajmniej, uczono natomiast, że wszelka władza zawsze będzie aparatem ucisku.

MICHAŁ GNATOWSKI: — Zgodziłbym się z tym stwierdzeniem, odnoszę jednak wrażenie, że pamiętając slogan Lenina, zapominamy jednocześnie, iż Lenin odnosił zawartą w nim treść do określonego okresu i sytuacji czy nawet formacji społeczno-politycznej. W naszych jednakże warunkach ustrojowych, w których brak głębszych konfliktów klasowych, władza będąca reprezentantem całego społeczeństwa nie może być i nie jest już tylko aparatem ucisku, gdyż nie może działać wbrew jego interesom. Rozmijanie się z tymi interesami zawsze — mówimy tu o tym — rodziło właśnie kolejny kryzys.

ROMAN ENGLER: — Dochodzi- my zatem do wniosku, że najważ-

niejsze przy zmianie władzy jest społeczeństwo. Myślę więc, że warto postawić sobie wobec tego pytanie, jakie należy uruchomić mechanizmy, by zadziałał regulator znacznie naturalniejszy — samowy-miany. Pozornie wydawać by się mogło, iż najlepszym rozwiązaniem tego problemu byłoby przyjęcie, co dzieje się w tej chwili w naszym kraju, określonych zasad kadencyjności sprawowania każdej funkcji publicznej, łącznie z centralnymi. Pozornie, gdyż pojawia się zaraz problem autorytetu. Przecież — nie wdając się w ocenę — autorytet Gierki paraliżował do tego stopnia, że jego odejście dla wielu było prawdziwym zaskoczeniem. A pro-szę popatrzeć na takie jeszcze nazwiska, jak Mao, Stalin, Tito, u nas

— Gomułka, i zwrócić uwagę, że odejście każdego z nich, niezależnie od społecznych oczekiwań, wynikało bądź ze śmierci, bądź, w naszym rodzimym przypadku, z głębokiego konfliktu społecznego.

JAN WALECKI: — Przytaczane tu przykłady tkwią bardziej w teorii niż w życiu. Sądę, że postawiony przez nas wspólnie problem można równie dobrze analizować nie tylko przez dotarcie do tego, co działo się na „wierzchuszcze”, ale na konkretnych, znanych nam i osobście doświadczonych, sytuacjach. Przecież doskonale służyć tu może choćby przebieg ostatniej kampanii wyborczej w partii. Jaka dało się wówczas zauważyć sytuację? Otóż na wszystkich zebraniach przedwyborczych głośno podkreślano, iż we władzach za mało jest robotników. Kiedy jednak doszło do wyborów, ci sami robotnicy skreślali swych kolegów z listy delegatów. Równocześnie wszyscy, którzy odchodzili dotąd ze stanowisk, lądo-

w niej, zrodziła się chyba również dlatego, że w naszej rzeczywistości powstał kult stanowiska, kult funkcji, autorytet władzy, a nie człowieka. Stąd w konkretnych warunkach wyborczych mógł się pojawić element manipulacji.

ALEKSANDER JANKOWSKI: — Jak dotąd podnosimy w zasadzie jedynie skutki zarówno pewnych niedomogów funkcjonowania władzy, jak też (związany z tym) problem odchodzenia od niej. Podajmy jego przyczyny bezpośrednie: odejść można wówczas, gdy się dojdzie do wniosku, iż przyjęte obowiązki są za trudne do wykonania, albo też w wyniku zdania jest się stanowiska, wyrzucenia. Aby tego uniknąć — trzeba odejść po prostu w porę. Tu jednak zdani jesteśmy na tak ludzkie cechy, jak samokrytycyzm, właściwa ocena samego siebie, swoich możliwości. Dotychczas niewiele jednak się robiło, choćby przez działania wychowawcze, by te cechy w sposób trwały w świadomości społecznej wykształcić.

JOZEF KRASUSKI: — Z problemem odchodzenia od władzy łączy się ściśle problem przychodzenia, obejmowania stanowisk. Wiele dotąd mówiło się o „przewożonych w teczki” i tu chyba tkwi klucz do rozważanego przez nas problemu. Sądę bowiem, iż zniknie on wówczas, gdy każdy przedstawiciel jakiegokolwiek struktury władzy wybrany będzie w sposób demokratyczny. Ten, który wówczas nie uzyska społecznej aprobaty, popartej odpowiednią ilością głosów, odejdzie bez całej tej nieciekawej otoczki, jaka dotąd towarzyszyła wszelkim odejściom. Jednocześnie trudno liczyć jedynie na cechy charakterologiczne najbardziej choćby szlachetnego człowieka. Każda bowiem władza ma to do siebie, iż bardzo szybko działa degenerująco. Aby temu zapobiec i nie liczyć na czyjkolwiek skromność, należy stworzyć odpowiednie mechanizmy kontrolne.

MAREK KACZANOWICZ: — Mówiliśmy dotąd o sprawie odchodzenia od władzy; ja chciałbym powiedzieć o jej odbieraniu. Dwa miesiące temu w demokratycznych wyborach powierzono mi funkcję sekretarza Komitetu Gminnego; aktualnie jej jednak już nie pełnię. Przed chwilą usłyszałem, iż osoba wybrana w demokratycznych wyborach zyskała tym samym zaufanie i może z tego zaufania czerpać. Okazuje się jednak, że nie jest tak zawsze. Nie chodzi w tym, co mówię, o ocenę akcji, w wyniku której do tego doszło, lecz chciałbym zastanowić się nad etyczną kwestią tej sprawy w relacji wybierających — wybieranych. Bo nie jest, moim zdaniem, najważniejszy sam akt demokratycznego wyboru. Również ważne jest wzajemne wypełnianie obowiązków wynikających z tego aktu; nie tylko więc wybranego, ale i wybierających, na których powinno spoczywać to samo poczucie odpowiedzialności za warunki i efekty działania wybranego, co i na nim samym.

HALINA ROBIŃSKA: — Jeszcze o sprawach z ostatnich tygodni i z własnego niejako podwórka: wydaje mi się, że przyczyną odejścia wielu ludzi w tym okresie nie tyle był brak zaufania do konkretnej osoby, choć pozorować to mogły wyniki wyborów, co normalny ludzki odruch, wynikający z chęci dokonania zmiany, decydowania, współtworzenia czegoś nowego po okresie, w którym o podobnej własnej roli nie można było nawet myśleć.

MAREK HUMENČUK: — Wydaje mi się, że traktując temat w niewątpliwym zawężeniu, pominiemy motywację czy — powiedzmy szerzej — podłoże ekonomiczne, związane z kwestią zarówno sprawowania władzy, jak i odchodzenia ze stanowisk. A przecież często właśnie osiągnięty standard życia jest do porzucenia najtrudniejszy. Oprócz więc mechanizmów regulujących wszelakie chciejstwo w działaniu, należałoby stworzyć odpowiednie mechanizmy ekonomiczne, by odejście od władzy nie było widmem tak odstrasającym, że zmuszałoby do trzymania się jej za wszelką cenę.

ROMAN ENGLER: — Wydaje mi się, iż warto zapamiętać słowa Kapuścińskiego: „Uczymy się demokracji — będzie dużo dwój”. Wówczas — być może — łatwiej dostreżemy skrajności nie tylko drugiej strony.

Opracował WŁADYSŁAW TOCKI
Fot. GABOR LÖRINCZY



nurzanie w odnowie

Panie, niech pan coś zrobi, my już dłużej nie wytrzymamy! — Co mogło ich skłonić do takiej determinacji? Twarze mają zdecydowane, zahartowane, niepodatne na byle przeciwność życiową. Wśród nich Wacław Dudek z Myśliborów — od 50 lat działacz społeczny (przewodniczący GRN-u, potem jej sekretarz, zarazem przewodniczący gminnego FJN) i 70-letni podporucznik rezerwy, Lucjan Ołowski z Ołowskich, który przeszedł szlak bojowy od Lenina do Berlina, adresat listów z podziękowaniami od generała broni Michała Roli-Zymierskiego oraz marszałka Józefa Stalina, odznaczony 11 orderami polskimi i radzieckimi.

— Panie, my naprawdę nie wytrzymamy — powtarzają młodzi i starzy z Myśliborów i Ołowskich. Ich niezadowolenie z administracji w Nurze trwa od kilku lat. Wspominają poprzedniego naczelnika, Tadeusza Soczika: — To był człowiek! Kulturalny, porządny, miał czas na rozmowę z nami, był zainteresowany sprawami rolników. Szybko jednak zorientował się w „układach” i, pod pozorem złego stanu zdrowia, zrezygnował z funkcji.

Obecnemu naczelnikowi, Eugeniuszowi Waśniewskiemu, mają od początku dużo do zarzucenia. Symbolem jego drogi postępowania zawodowego jest dla moich rozmówców droga do prywatnego domu naczelnika.

— Zanim nastał Soczik, do bazy geesu w Nurze wiodła brukowana, stumetrowa droga — wprowadza mnie w sprawę Lucjan Ołowski. — Gdy naczelnikował poprzednik Soczika, bruk zerwano i ułożono na ulicy, przy której mieszkał i mieszka Waśniewski, ówczesny technik budowlany w Urzędzie Gminy. Potem była krótka kadencja Soczika i nastał Waśniewski. Za jego rządów do bazy nadal prowadzi piaszczysta droga, na której wiosną i jesienią toną w błocie wozy dostawcze, wskutek czego towar odwożą od razu do Ciechanowca, i zamiast w Nurze, tam jest sprzedawany. Za to wybrukowa-

na drogę, przy której stoi dom naczelnika, pokryto asfaltem, kończy się on dokładnie tam, gdzie i plot posiadłości Waśniewskiego, dalej biegnie bruk.

— Te dwie drogi to skandal — powie mi następnego dnia sekretarz KG PZPR w Nurze, Witold Koch. — Tylko dlatego nie mogę walczyć o utwardzenie drogi do bazy GS-u, że sam przy niej mieszkam, a nie chcę wygodnie dochodzić do domu za cenę tych komentarzy, jakie słyszy naczelnik.

Mieszkanie Ołowskich zapelnia się powoli rozżalonymi rolnikami. Od sprawy drogi przechodzimy do innych kwestii.

— A przydziały maszyn? — Zdziśław Koc z Ołowskich nie pierwszy raz rozdrapuje zapiekłą ranę wsi. — Henryk Wiśniewski z Opatowiny w ciągu czterech lat dostał sześć maszyn! W roku 1978 przetrząsał zgrabiarkę, rozsiewacz do nawozów, przetrząsał widłowy, w 1979 ciągnik C-328, a w tym roku — drugi ciągnik C-355 i obsypnik.

Potwierdzenie tych słów znajduje w dokumentacji Urzędu Gminy w Nurze.

— Wiśniewski ma 20 hektarów użytków ornych, ale takich rolników jest wielu i tu chodzi o co innego: Wiśniewski to szwagier naczelnika — mówi jeden z przybyłych.

— Mam 23 hektary ziemi i obrabiam ją tylko z żoną, a od siedmiu lat nie mogę dostać nawet ciągnika. Za to Tadeusz Gorczyca, sołtys z Obrytego, gospodarujący na ośmiu i pół, w ciągu dwóch lat dostał koparkę, roztrząsacz obornika i młocarnię.

Tadeusz Dudek z Myśliborów zdał już w tym roku 27 świń, drugie tyle zda do końca roku; na roztrząsacz obornika nie ma najmniejszych szans.

— A wie pan, dlaczego sołtys dostał? Bo razem z naczelnikiem dobrze popija. Ja się nie boję tego mówić, byłem świadkiem, jak naczelnik pił nad Bugiem z sołtysiem, a potem łowili w rzece ryby siatkami, chociaż to surowo zabronione. Zre-

szta te połowy w Obrytem odbywają się nie pierwszy raz — kończy rolnik przy aprobujących głosach reszty zebranych. — Niech pan jeszcze sprawdzi — przypomina sobie — jakich ludzi typuje naczelnik do przydziału maszyn. Znajdzie tam pan takich, którzy nie powinni dostać narzędzi, ale są kandydatami, gdyż pochodzą z Godlewa, rodzinnych stron naczelnika.

Sprawdzam. Wśród wielu nazwisk znajduje Krystosika z Godlewa-Miernik i Tarnowskiego z Godlewa-Warsze. Nieco głębiej w dokumentach gminnego działu rolnego — pismo Gminnego Związku Kółek i Organizacji Rolniczych opiniujące najświeższą listę kandydatur naczelnika do otrzymania maszyn: „Krystosik Tadeusz nie jest zameldowany na terenie naszej gminy i formalnie nie posiada ziemi. [...] Tarnowski z Godlewa-Warsze nie posiada ziemi, ani przygotowania zawodowego”. Od Jana Bielika ze Slepowron, członka społecznej komisji dystrybucji maszyn, dowiaduję się jeszcze, że naczelnik modyfikuje listy według własnego widzimisię, a od sekretarza Kocha — że nikt nigdy nie prosił go na posiedzenie w sprawie przydziału oraz, że napływające do Komitetu informacje o niewłaściwych nadziałach zmuszają Egzekutywę KG do zajęcia się tą sprawą w niedługim czasie.

Zebranie u Ołowskich nabiera rozmachu. Sołtys wsi Ołowskie, Henryk Grodzki, podnosi temat promy: — Nasza wieś i wiele innych w pobliżu leżą nad Bugiem. Za rzeką mamy łąki; w prostej linii jest do nich 700 metrów, ale dojeżdżać musimy 30 kilometrów. Z tego względu ludzie nie zabierają siano do gospodarstw, tylko składują na łące. Bug wylewa i stogi podmywa, a PZU musi płacić za straty. Od czasów przedwojennych aż do roku 1975 był w pobliżu wsi Murawskie drewniany prom w dzierżawie. Jego stan nie pozwalał na dalszą eksploatację. Naczelnik sprowadził stary prom wojskowy, chociaż gospodarze chcieli drewniany, tłumacząc, że dla woj-

skowego za płytki Bug w sezonie. Ale Waśniewski postawił na swoim. W efekcie prom stoi bezczynnie, bo faktycznie rzeka dlań za płytka.

— Prom chodził przez 2—3 lata. Nikt jednak nigdy nie przekazywał go do oficjalnego użytku — uzupełnia w dwa dni później sekretarz Komitetu Gminnego. — Nie wiadomo też, do kogo właściwie prom należy. Gdyby w czasie jazdy zdarzył się wypadek, naczelnik poszedłby chyba za kratki. Wiele razy pytałem pana Waśniewskiego o odpowiedzialnych za eksploatację promu, ale zawsze dawał wymijająco-zartobliwe odpowiedzi.

Chociaż czas już spać, zebrani u Ołowskich stawiają problem najpilniejszy: sklep we wsi. Sołtys Ołowskich twierdzi, że dostał na przełomie kwietnia i maja tego roku pismo z geesu w Ciechanowcu, w którym nakazywano mu zwołać zebranie wiejskie w oznaczonym dniu w celu ustalenia lokalizacji sklepu, który gees ma zamiar pobudować.

Tu odrobina lokalnej geografii. Na 10-kilometrowej trasie Nur—Zasków leżą kolejno wsie: Kamianka, Kossaki, Murawskie, Myślibory, Ołowskie, Obryte i Slepowrony. Sklepy spożywczo-przemysłowe znajdują się w Nurze (dwa) i po jednym w Kossakach, Ołowskich i Zaskowie (drugi w trakcie budowy). Sklep w Ołowskich umieszczono w prywatnym budynku na zasadach dzierżawy. Jego klientelą jest ludność Ołowskich, odległego o pół kilometra Obrytego i część mieszkańców Slepowron, z drugiej zaś strony — mieszkańcy (stykających się z Ołowskimi) Myśliborów i Murawskiego. Murawiaczy chodzą do Ołowskich, zamiast do — bliżej położonych — Kossaków, ponieważ są z ich ludnością skłóceni przez to, że sklep stanął tam, a nie u nich. Ponadto na taki skład klienteli ma wpływ zbiorcza szkoła w Ołowskich, do której uczęszcza 120 dzieci: z Murawskich, Myśliborów, Ołowskich i Obrytego. Dla zapracowanych rolników obecność ich dzieci w Ołowskich jest okazją do robienia zakupów. W ostatnim planie perspektywicznego zagospodarowania gminy z 1974 r. uwzględniono budowę nowego pawilonu we wsi, do którego zamierzano przenieść sklep z dzierżawionych pomieszczeń.

Tak więc sołtys dostał pismo o rychłej budowie sklepu, czemu zaprzeczył, pytany o to przeze mnie, Tadeusz Borkowski, prezes ciechanowieckiego geesu, któremu podlega gmina Nur. (Niestety, Grodzki nie znalazł w swoich dokumentach tego zawiadomienia). Faktem jest, że w oznaczonym dniu zebrano się w domu Henryka Grodzkiego ok. 30 osób, w tym cały wiejski komitet sklepowy.

— Przyjechał prezes Borkowski i naczelnik — wspomina sołtys. — Prosił, byśmy chwilę zaczekali, oni podjadą do Obrytego i za 10 minut wrócą. Czekałszy dwie godziny, nikt się nie zjawiał.

— Tak było — potwierdzają zgodnie zebrani.

— Wsiadłem na ciągnik i podjechałem do Obrytego — kontynuuje sołtys. — Naczelnik powitał mnie stwierdzeniem, że sklep będzie w Obrytem i już mają wyznaczone miejsce. Poleciał, żeby wrócił do wsi i niezwłocznie przybył z komitetem sklepowym podpisać na to zgodę. Wróciłem do swoich. Jechać nie chcieli, bo niby z jakiej racji. Dnia 14 czerwca było w Ciechanowcu zebranie przedstawicieli geesu z poszczególnych wsi. Naszą reprezentował Lucjan Ołowski.

— Prezes Borkowski przedstawił plan na rok 1981 — podejmuje dalszą relację Ołowski. — Była w nim budowa sklepu nie u nas, a w Obrytem. Siłą rzeczy zamknięto by nam wtedy ten obecny sklep, tak jak to było w Murawskich, gdy stanął sklep w Kossakach. Zabrałem głos po prezecie. Zwróciłem uwagę na to, że lokalizacji nie poddawano pod dyskusję zainteresowanym miejscowościom. Przedstawiłem też okoliczności podjęcia tej decyzji. Nie pomogło. Prezes wszystkiemu zaprzeczył.

Gdy przedstawiłem mu nazajutrz tę wersję, zaprzeczył po raz drugi: — Żadnego sklepu nie obiecywałem. Żadnego pisma o zebraniu w Ołowskim nie kierowałem do sołtysa. — Ale jak wierzyć prezesowi, twierzącemu również, że nie będzie budować w roku 1982 sklepu w Slepowronach i nic o tej inwestycji nie wie, jeżeli sołtys Slepowron, Eugeniusz Dmochowski, pokazał mi do-



kument z Wojewódzkiego Związku Spółdzielni Rolniczych w Łomży, informujący o takowej budowie i zawierający wzmiankę, że otrzymał go do wiadomości prezes geesu w Ciechanowcu. Wspominam Tadeuszowi Borkowskiemu, że ślepowroniacy zebraли już na koncie bankowym 40 tysięcy złotych na częściowe pokrycie kosztów sklepu, byle stanął szybko.

— I po co? — irytuje się prezes. — O żadnych zobowiązaniach sklepowych na przyszły rok nie wiem. Wraca do problemu ołowskiego: — Zdecydowaliśmy wspólnie z naczelnikiem, że zmierzmy odległości między miejscowościami, w których są sklepy, i w połowie tej trasy zbudujemy sklep dla tych wsi, gdzie go nie ma na stałe. Wypadło na Obryte. Sprawiedliwie; w ten sposób nikogo się nie skrzywdzi.

— Ależ, panie prezesie — nie wytrzymuje obecny przy rozmowie Lucjan Ołowski — u nas jest więcej stałych mieszkańców. Dochodzące do szkoły dzieci z pobliskich wsi robią tu zakupy. Poładto mieszka u nas siedmiu nauczycieli, którzy powiedzieli, że nie będą dochodzić pół kilometra do sklepu. Dwóch chce z tego powodu zwolnić się z pracy. W naszej wsi i w Murawskich, bo to, przecież nierozdzielny organizm, jest łącznie 41 gospodarstw (16 powyżej 10 hektarów), w tym 37 gospodarzy ma następców, a w Obrytem tylko 27 gospodarstw (tylko 3 powyżej 10 hektarów), w tym tylko 13 ma komu przekazać gospodarowanie. Panie prezesie, rolnik wielkohektarowy nie ma czasu dochodzić pół kilometra albo kilometr (z Murawskich) do sklepu.

Starcie dwu sposobów myślenia, dwu koncepcji sprawiedliwości. Dla urzędnika sprawiedliwość to formalna równość; rolnik przenosi tylko pożytek nad stratą.

Cofnijmy się jednak do pamiętnego zebrania przedstawicieli geesu w Ciechanowcu. Następnego dnia Ołowski złożył odwołanie od decyzji Borkowskiego do przewodniczącego rady nadzorczej geesu, który obiecał rozpatrzyć sprawę w trybie natychmiastowym.

— Do dzisiaj nie mamy od niego żadnej odpowiedzi, chociaż zaczął się sierpień.

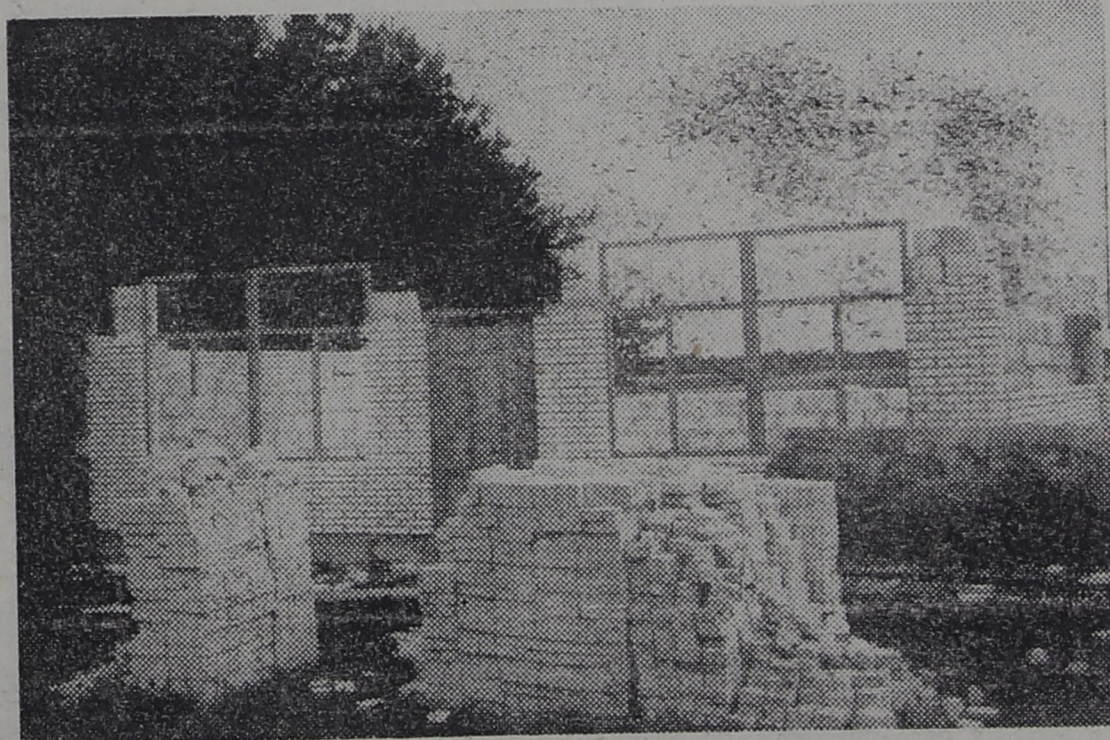
— Sprawa jest mało istotna. Sklep zaczęto budować, a to najważniejsze. Przecież nie będziemy go teraz burzyć — mówi Sirocki, przewodniczący rady nadzorczej. — A co do

odwołania, nie miałem czasu się nim zająć. Myślałem, że zrobi to przewodniczący oddziału rady, Popławski.

— Nikt mi sprawy nie przekazał — dziwi się przewodniczący Popławski w późniejszej rozmowie.

— Jednocześnie złożyliśmy skargę w Gminnej Radzie Narodowej. Wtedy zaczęto na gwałt budowę sklepu w Obrytem — opowiada dalej Ołowski.

— To prawda. Pracowali jak w ukropie — uzupełnia Witold Koch. — Po wysłuchaniu skargi rolników z Ołowskich prezydium naszej Rady



podjęło stosowną uchwałę. — Pokazuje mi jej treść. Zawiera ona zobowiązanie naczelnika do wstrzymania budowy sklepu i uzgodnienie lokalizacji z mieszkańcami wsi Ołowskie, Myślibory, Murawskie i Obryte. — Byliśmy zdania, że nie można doprowadzić do kolejnego skłócenia wsi przez złe umiejscowienie sklepu.

Zastępca przewodniczącego GRN-u, Stanisław Galanty, przypomina o zażegnaniu między Kossakami a Murawskimi: — Murawskie to wieś z tradycją, zawsze miała sklep. Gdyby naczelnik ją uszanował, Kossaki by nie oponowały. Były przyzwyczajone do przewag Murawskich. Waśniewski chciał Kossaki nobilitować, a w efekcie skłócił dożgonnie obie strony. Drugi konflikt toczy się w Zebrach. Sklep, za zgodą całej wsi, miał stać w jej środku, lecz z woli naczelnika buduje się go na rubie-

ży, w grzaskim terenie, bez dojazdu przy roztopach. Wiś się rozdzieliła, obie części patrzeć na siebie nie mogą. Teraz zanosi się na kolejną kłótnię. Nasza uchwała zobowiązywała naczelnika do odpowiedzi w terminie tygodniowym, tj. do 1 czerwca br.

— Minął termin, a odpowiedzi od naczelnika nie było — Witold Koch pokazuje mi teczkę z dokumentacją. — Zwołaliśmy zatem drugie posiedzenie, żeby rozliczyć pierwszą naradę. Prezydium stwierdziło, że po wydaniu uchwały prace przy budowie sklepu zostały celowo nasilone. Ponieważ naczelnik raczył zlekceważyć organ przedstawicieli, skierowaliśmy pismo do wojewody łomżyńskiego, prosząc go o zajęcie stanowiska. Liczyliśmy na to, że wojewoda przypomni Waśniewskiemu o jego obowiązkach wobec GRN-u, a zarazem wyciągnie wobec niego wnioski służbowe. Niestety, nie otrzymaliśmy nawet odpowiedzi.

Przez głowę przeszło mi niedobre skojarzenie. Mimowolnie przypomniałem sobie słowa Zofii Diakowskiej z działu rolnego UG, że wszystkie przydziały maszyn dla Henryka Wiśniewskiego, szwagra naczelnika, musiał — z racji ich pokrewieństwa — akceptować resortowy wojewoda...

Niezależnie od skierowania sprawy do rady nadzorczej geesu i GRN-u rolnicy z Ołowskich pojechali 23 czerwca do wojewody Jerzego Zientary. Skierowano ich tam do WZSR-u, skąd delegacja przybyła na miejsce budowy dopiero dwa tygodnie później. Już była podmurówka sklepu. Odpowiedź dostali 15 lipca — razem z listem z CZSR-u w Warszawie, gdzie w międzyczasie zawitali. List z Warszawy był nijaki. Mówił o tym, kto podjął decyzję i kto może ją wstrzymać; ani słowa o legalności budowy. List z Łomży był jednoznaczny: zawierał decyzję architekta wojewódzkiego o wstrzymaniu budowy, ponieważ prowadzona jest bez pozwolenia i dokumentacji.

Jednakże mimo tego postanowienia — roboty przy sklepie postępowały. Dopiero ponowna interwencja architekta zatrzymała budowę.

Na koniec mego pobytu nad Bugiem odłożyłem wizytę u głównego bohatera tej opowieści. Nie zastałem Eugeniusza

Waśniewskiego w biurze. Miał urlop. Odwiedziłem go w domu. Przyjechała mnie w progu żona. Oznajmiła, że maż wyszedł i nie powiedział, kiedy wróci. Poprosiłem o umówienie nas na dzień następny.

Drzwi otworzył syn. Tym razem usłyszałem, że tatuś wyszedł do SKR-u. Zatelefonowałem do dyrekcji i bazy SKR-u. Tego dnia naczelnika tam nie było.

Gdy szedłem drogą, wyasfaltowaną od domu Waśniewskich, wymieniłem kilka zdań z napotkaną kobietą. Usłyszałem od niej m.in.: — Tu, panie, nie ma silnych na władzę.

JULIUSZ SWIREDO
Fot: GABOR LÖRINCZY

kontakty kontaktów

5
KONTAKTY
30.08.1981

W odpowiedzi na notatkę, zamieszczoną w 29 numerze „Kontaktów”, dotyczącą niewłaściwej sprzedaży kurczaków w sklepie nr 16 „SAM” Społem WSS Oddział w Zambrowie w dn. 8.07.81 r., po przeanalizowaniu i przeprowadzeniu rozmów z personelem tego sklepu wyjaśniamy okoliczności, które miały miejsce podczas sprzedaży drobiu.

Ustalono, że w dn. 8.07. istotnie odbywała się sprzedaż drobiu w wspomnianym sklepie spożywczym i że w dniu tym kierowniczka sprzedawała na zapleczu tegoż sklepu kurczaki dla innych pracowników sklepowych naszego przedsiębiorstwa, co nie zwalnia jej od takiego postępowania i słusznego protestu klientów.

Niniejszym zwracamy się z prośbą do redakcji, aby za pośrednictwem tygodnika „Kontakty” przepraszać klienta za niewłaściwe go potraktowanie przez pracownice sklepu, które są członkiniami „Solidarności”, jak również zamieszczenie wiadomości, aby na przyszłość, gdy zaistnieją podobne przypadki klientów zgłaszali się do Komisji Zakładowej NSZZ „Solidarność”. Społem WSS Oddział w Zambrowie, co spowoduje szybkie wyjaśnienie i zapobiegnie dalszym tego rodzaju „praktykom” nieuczciwych sprzedawców lub dokonanie wpisu do książki skarg i wniosków z adnotacją powiadomienia „Solidarności”.

W sprawie powyższej postanowiono: 1) Kierownika sklepu nr 16, ob. Reginę Ceckowską, zawiesić w pracach członka na okres 3 miesięcy począwszy od dn. 27.07. z oświadczeniem, o ile będą podobne przypadki i takie „praktyki”, „Solidarność” wystąpi z wnioskiem do dyrekcji o rozwiązanie umowy o pracę. 2) Przeprowadzono rozmowę i zwrócono uwagę sprzedawczyni, która w sposób lekceważący i dość niegrzeczny odpowiadała klientowi, który zauważył nieprawidłowości w pracy personelu sklepu.

WACŁAW DEBOWSKI
Przewodniczący Komisji Zakł. NSZZ „Solidarność”

W związku z ukazaniem się w tygodniku z 26 lipca 1981 roku notatki dotyczącej wypłaty emerytury, Wojewódzki Urząd Poczty w Łomży wyjaśnia: przekazy rentowe i emerytalne doręczyciele poczty wypłacają osobiście adresatom w miejscu ich zamieszkania oraz w obowiązujących terminach płatności; w razie nieobecności adresata zgodnie z zarządzeniem [...] przekaz rentowy może być wypłacony zastępczo do rąk współmałżonka rencisty do kwoty 3500 złotych pod warunkiem, że adresat nie złoży żadnego zastrzeżenia i pod warunkiem wspólnego zamieszkania; o ile kwota renty przekracza 3500 zł, a adresat jest nieobecny w domu, wówczas doręczyciel pozostawia zawiadomienie o nadejściu przekazu celem osobistego zgłoszenia się adresata lub też innej osoby, posiadającej prawomocne pełnomocnictwo pocztowe do jednorazowego odbioru kwoty przekazu rentowego w wyznaczonym urzędzie pocztowym; ponadto w okresie korzystania doręczycieli ze zwolnień lekarskich oraz uzasadnionych urlopów okolicznościowych, z powodu występujących trudności kadrowych na zastępstwa, niektóre rejonu doręczeń obsługiwane są doraźnie i w tym czasie zdarzają się przypadki awizowania przekazów rentowych.

mgr WŁADYSŁAW MRÓWKA
Dyrektor Wojewódzkiego Urzędu Poczтового w Łomży

Od Redakcji: dziękujemy za wyjaśnienie, ale nadal nie rozumiemy stanowiska poczty. Dlaczego doręczyciel-zastępca nie może emerytowi wręczyć pieniędzy zamiast awizo? Czyba że dyrektor poczty ufa tylko wybranym pracownikom.

W dniu 25.07.1981 r. w Jeziorku, gmina Piątница sprzedawano piwo w butelkach o pojemności 0,33 l. Butelki były bez etykietek, a pobierano za każdą 20 złotych. Może ktoś się tym zainteresuje? Mnie ciekawi bardzo fakt, kto sprzedawcy ustalił taką cenę. Sprzedaży, o której mowa, dokonywano w remizie Straży Pożarnej.

FRANCISZEK WIŚNIEWSKI
Łomża



DOKOŃCZENIE ZE STR. 1

ki, a praca najemna stała się nie-
zmierznie droga (dniówka wynosi
600-800 zł). Przed dziesięciu laty
wszyscy rolnicy województwa po-
siadali mniej ciągników niż obecnie
sama gmina Zambrów, a agrono-
mowie musieli wręcz zachęcać rol-
ników do mechanizacji. Pamiętać
trzeba, że maszyny w gospodar-
stwie to nie tylko mniejszy wysi-
łek fizyczny, ale też możliwość
terminowego wykonania prac.

S.Z.: — Obecny sposób przydziału
maszyn powoduje chłopskie klótnie, bi-
jatyki, prawdziwe wojny (w „Konta-
ktach” poświęciliśmy temu problemowi
kilka publikacji). Wymaga on natych-
miastowego rozwiązania, zanim dopre-
wadzi do krwawych dramatów.

W.R.: — W trakcie spotkań z na-
czelnikami i kierującymi pracami
komisji tłumaczyłem im, że naj-
ważniejsze jest wypracowanie jas-
nych i zrozumiałych dla wszyst-
kich kryteriów, np. obszar gospo-
darstwa i zasoby siły roboczej. Jed-
nakże moje wypowiedzi odczyty-
wane były czasami jako zamach na
demokrację i samorządność.

S.Z.: — Znaczy to, że nie da się roz-
strzygnąć ostatecznie i optymalnie tego
dylematu, jeśli nie chce się narazić na
podejrzanie o zamach?

W.R.: — Na razie nie widzę tak-
kiej możliwości. Mogę jedynie wy-
tłumaczyć skarżącym się rolnikom
ich pominięcie w przydziale niedo-
borem sprzętu lub zmienić temat
na przyjemniejszy. Większość rozu-
mie. Wierzy, że za 2-3 lata wiele
z tych problemów przestanie ist-
nieć.

S.Z.: — Przychodzą ze skargami także
mieszkańcy miast. Narzekają na zle-
zaopatrzenie. Gdzieś nie dowieźli mle-
ka, chleba. W okresie tak wielkiej nie-
równowagi na rynku pojawia się coraz
więcej braków, istnieje nacisk na dal-
szą reglamentację.

W.R.: — No cóż, nienormalna sy-
tuacja każe nam działać na zasa-
dzie ciągłej interwencji. Nasi inte-
resanci najchętniej pomijają prze-
sada GS-u i naczelnika; z każdym
drobiazgiem zwracają się do nas.
Albo utracili oni zaufanie obywa-
teli, albo obywatelom się spieszy.
Oczywiście, nie odsyłam takich do
gmin, lecz łapię za telefon.

S.Z.: — Te drobne ludzkie problemy
i zaniedbania na szczeblu gminy z pew-
nością irytują Pana, ale może jednak
bezpośrednie kontakty ze społecz-
stwem niosą jakieś korzyści?

W.R.: — Dzięki tym rozmowom
czuję jeszcze bardziej problemy
wsi i rolnictwa. Rolnicy, którzy do-



O współżyciu z „Solidarnością”, przyjmowaniu i odprawianiu inte-
resantów z kwitkiem oraz życiu domowym — z wicewojewodą łom-
żyńskim: mgr inż. Wacławem Redlińskim — rozmawia Stanisław Zie-
liński.

cierają do mnie, wcale nie skarżą
się na konkretną osobę czy insty-
tucję. Oni chcą po prostu coś ku-
pić. Przy okazji poznają ich kryte-
ria sprawiedliwości, zasady war-
tościowania ludzi i spraw. Niektó-
rzy uważają, że wojewoda jest pa-
nem i władcą całego województwa,
i nie ma takiej sprawy, której nie
może załatwić.

S.Z.: — Rolnicy powiadają, że dostać
się do wojewody Redlińskiego, to wdra-
pać się na najwyższą górę świata.
Wprawdzie nie ma Pan swego „goryla”,
lecz równie dobrze drzwi Pańskiego
gabinetu strzeże uroczą sekretarkę, któ-
ra jest ponoć nie do pokonania. Sama
decyduje, komu dać kwitek, komu nie.

W.R.: — Jeśli zachodzi taka po-
trzeba, drzwi mojego gabinetu są
otwarte na oścież. Sekretarka pil-
nuje swoich spraw i żadnych kwit-
ków nie wydaje. Jest natomiast
przedstawiciel Urzędu Wojewódz-
kiego, który interesantów przyjmu-
je i kieruje do poszczególnych wy-
działów. Niezależnie od tego zapo-
znają się z treścią każdej sprawy.
Interesanci uważają, że jeśli poroz-
mawiają ze mną, to będą mieli
większą gwarancję załatwienia
sprawy po ich myśli. Jest też nie-
liczna grupa podróżników, którzy
żyją w poczuciu krzywdy i odwie-
dzają mnie po kilka razy w roku,
pomimo że ich sprawa została już
dawno rozstrzygnięta.

S.Z.: — W tym roku Urząd Woje-
wódzki nie włączał się do pomocy rol-
nikom w zbiorze zbóż. Nawet nie zo-
rganizował banku informacji dla chę-
tnych do pomocy i jej potrzebujących.
Redakcja „Kontaktów” zamieszcza taką
propozycję; zgłosiło się wielu chętnych
do pracy, jednakże ani Urząd Woje-
wódzki, ani służby rolne nie pospie-
szyły z adresami rolników.

W.R.: — Na wsi istnieje trady-
cyjna forma pomocy sąsiedzkiej.
O wyjątkowo trudnych sytuacjach
jest informowany sołtys, naczelnik,
dyrektor SKR-u. Organizują tę po-
moc na szczeblu wsi i gminy. Czy
potrzebne jest powoływanie gigan-
tycznego sztabu akcji żniwnej, me-
chanicznie niosącego pomoc? Myślę,
że powinniśmy raczej zapewnić rol-
nikowi sprawną obsługę w biurze,
urzędzie, sklepie, na punkcie sku-
pu.

S.Z.: — Może się jednak zdarzyć, że
otrzyma Pan sygnał o całkowitym za-
niechceniu akcji żniwnej w gminie.

W.R.: — Przypuśćmy, że otrzy-
mam taki sygnał. Mogę zareago-
wać w dwojaki sposób: zacząć or-
ganizować w Łomży grupę ludzi,
szukać im samochodu i wieżę te
kilkadziesiąt kilometrów, żeby w
porę skosić czy zebrać hektar zbo-





Osiedle mieszkaniowe Wschód w Zambrowie istnieje na podobnie wariackich papierach, jak łomżyńskie Południe: bez infrastruktury technicznej, a więc dróg dojazdowych, sklepów, uzbrojenia terenu, bez wody w kranach, za to pod dostatkiem — w piwnicach. Do pełnej analogii Południe potrzebuje tylko cuchnącej rzeczki, jaką ma Wschód w postaci Jablonki, zanieczyszczonej przez Zakłady Przemysłu Bawełnianego. Co może znaczyć awersja Wojewódzkiej Spółdzielni Mieszkaniowej do nazw — odpowiedników stron świata?

Szlachcie na zagrodzie równy wojewodzie — przypomnieli sobie ekspedientki z Zaszki i Kossaków (gm. Nur), słynących ze szlacheckiej tradycji, i ustaliły, niezależnie od wojewody, własne zasady przydziału papierosów na lipiec: tylko po 3 paczki (60 sztuk) na dorosłą osobę.

Gdyby narożny spichlerz wnękowy, własność rolnika z Wykna Nowego (gm. Kulesze Kościelne), znalazł się w ciechanowieckim skansenie, jego zabudowa byłaby kompletna. Naczelnik Kuleszy nieraz nakazywał wywłaszczenie opornego rolnika, lecz Wydział Rolnictwa, Leśnictwa i Skupu UW w Łomży sprawnie stale odkłada ad acta. Czyżby miejsce w skansenie Wydział rezerwował dla swego personelu jako obiektu szczególnie chronionego?

Rowy we wsi Konieckie przejęła ostatnio spółka wodna w Wąsosz. Miara jej aspiracji jest wyższa od dotychczasowej trawa w rowach, a symbolem działań — to, że usycha.

Załoga POM-u w Szczuczynie dzieli się na trzy kategorie: mechaników umiających ustalać awarie, usuwających je i zmieniających awarie małe na groźne. Z nadmiaru tych specjalizacji aż trzy ekipy POM-u nawiedziły rolnika w Konieckach, by dociec, dlaczego szpagat w mechanizmie wiążącym nie zawija się na snopku. Odpowiedź jest prosta: węzeł gordyjski partaczy przeciąć trzeba na pniu. Najlepsze — ciecia kadrowe.

Co jest ze sklepem w Borkowie, prezesa geesu w Kolnie? Od roku wygasa dzierzawa pomieszczeń u Stanisławy Dąbrowskiej; kobieta chce użytkować swą własność, a pan od 12 miesięcy tylko obiecuje przeniesienie sklepu gdzie indziej.

Nie można ruszyć sklepu, przeniesiemy prezesa — odpowiada Borkowo, wykształcone na dowcipie o dziedzicu, co rozparty w fotelu spytał lokaja: — Gdzie jest moja fajka? — Na fortepianie, jasne panie — odrzekł lokaj. — To przysuń fortepian — zawyrokował dziedzic.

Naczelnik gminy w Szumowie twierdzi, że nie musi się odnawiać, bowiem zawsze myślał i działał awangardowo. Lekka w tym przesada, ale faktem pozostaje, że w „czasokreście” grzania zaszczytnego stoła znacznie wyprzedza wielu gminnych dygnitarzy.

„Pilnel! Prosimy o zwrot butelek! Grozi ograniczenie dostaw mleka i śmietany!” To dramatyczne nawoływanie z plakatów w łomżyńskich sklepach zdołało zdopinguować nawet starą, ledwie powłóczącą nogami, mieszkankę Łomży, która z dwoma torbami butelek podreptała do pawilonu WSS nr 25 w Łomży. Powitała ją brunetka przy kasie zachęcającym: — Dlaczego tylko ja mam przyjmować butelki? — Nie rozumiemy brunetki, której, sadząc po zachowaniu, też wiele brakuje, przynajmniej śmietanki... towarzyskiej. A poza tym, kto tu kogo nabi-ja w tzw. opakowanie szklane?

Pragnienie i zmęczenie zżłajanego konsumenta ugasa najskuteczniej wyroby „Basi” z Łomży. Skład lodów nie jest wprowadzić znany, ale wiadomo, iż 50 procent stanowią w nich dwa składniki: $H_2O + H_2O$.

dzień dzisiejszy



ta (taką eskapadę może Pan bardzo kwieście opisać!), mogą też kontaktować się z gminą, wyjaśnić, o co tam chodzi, i pogonić do roboty. Jestem za drugim sposobem. A przecież bywało i tak, że łarmowali nas młodzi i silni ludzie, którzy „spod gruszy” wzywali władze do pomocy rodzicom. Myślę, że do przeszłości należą czasy, kiedy to w telewizji, na oczach całej Polski, kreowano na bohaterów tych, którzy kilkaset kilometrów wieżeli helikopterami części do bizona. Widowiskowe to było, ale z rachunku ekonomicznego — dwójka.

S.Z.: — Istnieje u nas dziwne przekonanie, że na wsi najtrudniejszy okres to żniwa. Tymczasem najbardziej pracowity jest zbiór okopowych. Ilu pracowników utrzymuje się z obsługi rolnictwa?

W.R.: — W kółkach rolniczych pracuje ponad trzy tysiące osób, w WZSR-ze około sześciu tysięcy. Ze czterystu zatrudniają gminne służby rolne, kilkuset — geodezja. Wszystkich na pewno będzie ponad dziesięć tysięcy. Pan w podtekście myślał o jakości ich usług? Oczywiście, nie jest z nią najlepiej.

S.Z.: — Jak się Panu współpracuje z „Solidarnością” miejską i wiejską? Czy rzeczywiście preferuje ona działalność korygującą poczynania władz?

W.R.: — Do „Solidarności” odnoszę się tak samo, jak do każdego ruchu, mającego na celu poprawienie naszego codziennego bytowania. Ale działacze „Solidarności” są bardzo niecierpliwi. Nie zważają na warunki, żądają wszystkiego od zaraz. Pod moim adresem kierują postulaty związane z rozwojem rolnictwa. Chodzi o zwiększenie dostaw środków produkcji, przyspieszenie prac melioracyjnych; budownictwa dróg, przybliżenie do wsi szkół, ośrodków zdrowia, placówek kultury, o poprawę zaopatrzenia rynku w artykuły spożywcze. A przecież to wszystko wymaga czasu; czasu na reformę gospodarczą, łącznie z regulacją cen.

S.Z.: — Kiedy jest miejsce na interwencję wojewody? Weźmy, na przykład, szpulę sznurka żniwnego: wtedy, gdy on jeszcze jest, czy wtedy, gdy go już nie ma?

W.R.: — W przypadku sznurka — przez cały rok; w innych — zależy od okoliczności. Odnoszę wrażenie, że w Polsce byłoby o wiele lepiej, gdyby wszyscy nie przejmowali się równocześnie tym samym. Oto na Sejmie mówi się o częściach zamiennych, zamiast o sprawach godnych jego rangi. Na Zjeździe również miała miejsce dyskusja o częściach zamiennych, na naradzie wojewodów także. A gdzie się po-dział pion mechanizacji rolnictwa? W rezultacie na wszystkich nasia-dówkach mówi się o tym samym, bez żadnego rezultatu. Nie tędy

wiedzie droga do uzdrowienia gospodarki.

S.Z.: — Ludzie mówią, że na drodze do naprawy gospodarki leży kloda w postaci nadużywania stanowisk dla prywatnych korzyści, począwszy od wyre-czania się personelem w zakupach.

W.R.: — Od dwudziestu lat poranne zakupy robię sam. Osobiście przeżywam radość wystawiania w kolejkach, a potem wysłuchiwanie komentarzy żony na temat skromności tego, co w siatce przynoszę.

S.Z.: — Może to złudzenie, lecz mieszkańcy Łomży są zdania, że inne miasta wojewódzkie, a nawet sąsiadujący z nami Elk, siedziba władz gminnych, mają lepsze zaopatrzenie nie tylko w artykuły spożywcze, ale i przemysłowe.

W.R.: — W poprzednim okresie pod względem dostaw uprzywilejowane były wielkie aglomeracje przemysłowe; im przysługiwało pierwszeństwo zakupu masy towarowej. W sprzedaży na jednego mieszkańca (niższe mamy też i płace) jesteśmy na poziomie województw typowo rolniczych. Obecnie naprawdę sytuacja jest trudna wszędzie. Dzisiaj może być lepiej w jednym mieście, jutro w innym.

S.Z.: — Jak są wykorzystywane własne moce produkcyjne? Czy widać, że mamy własną glukozownię, zakłady mięsne w Wysokiem Mazowieckiem (produkujące m.in. końskie kabanosy), browar w Łomży?

W.R.: — Z tymi zakładami mięsnymi to jest tak: większy, nowocześniejszy, gwarantuje lepszą jakość wyrobów; mniejszy jest blisko, ale za to z jakością sobie nie radzi. Każdy kilogram mięsa jest bilansowany w skali kraju.

S.Z.: — Podczas spotkania dziennikarzy i mieszkańców Łomży z władzami padło pytanie, gdzie prezydent oddaje do prania kożuch, gdzie naprawia buty. Odpowiedział, że zakatwia mu to rodzina. Czy Pan także ma taką usługą i uzdolnioną rodzinę, rozmieszczoną w odpowiednich resortach? Ile czasu, na przykład, czeka Pan na dostawę gazu?

W.R.: — Ostatnio czekałem cały tydzień. Do 15 sierpnia „Korgaz” ma wrócić do przestrzegania terminu przewidzianego w umowie. Wierzę im, bo poprzednio dostarczali gaz rzeczywiście w ciągu 2-3 dni. Zaś usługi złęcam zakładom istniejącym w Łomży.

S.Z.: — Ludzie powiadają, że mieszka Pan niemal w pałacu, postawionym za społeczne pieniądze, i opływa w dostatki. Jaka jest rzeczywistość?

W.R.: — Za społeczne pieniądze wznosi się większość mieszkań (poza budownictwem indywidualnym). Czy jest to pałac? Powierzchnia mieszkalna wynosi 70 metrów kwadratowych; nie jest to chyba za dużo na pięcioposobową rodzinę? Muszę kupować węgiel i sam palić w piecu, a czynsz opłacam według obowiązujących stawek. Na około 300 metrach ogrodu uprawiam wa-

rzywa. Zdradzę Panu, że mam współnika, który nocą pomaga mi zbierać, ale w dzień — jak dotychczas — nie zgłosił się do pracy. A 20 lat temu przez 3 lata mieszkalem w dwudziestometrowym pokoju przy ulicy Dwornej, jak ja wtedy nazywali. Rozumiem oczekujących na samodzielne mieszkanie, ale każdy z nas musi pokonać trudną drogę do życiowej stabilizacji.

S.Z.: — Władze także muszą się ustabilizować na gruncie ustalonych, adekwatnych do ich szczebla, kompetencji. Nie może być tak, że ministerstwa wyręczają wojewodów, ci zaś dyrektorów wydziałów, naczelników i prezydentów miast. Z naszego gruntu mógłbym przytoczyć przykład o podległych wojewodzie sprzączkach miejskich.

W.R.: — Z reguły jest tak, że gdy myśli się o władzy, to próbuje się oceniać pracę wojewody czy ministra. Centralizacja naszego życia gospodarczego była doprowadzona rzeczywiście w niektórych sprawach do absurdu. Weźmy chociażby ustawę o ochronie użytków rolnych: gdzie trzeba było poszerzyć drogę o 2-3 metry, a trafiły się gleby III klasy, decyzję podejmowano aż w Warszawie.

S.Z.: — Wojewodowie i pracownicy administracji są rewszad atakowani: przez partię, stare i nowe związki zawodowe, radnych, organizacje społeczne. Kto ich broni, jeśli rzeczywiście dobrze spełniają swoje obowiązki? Komu może się poskarżyć wojewoda?

W.R.: — Poskarżyć się może własnej żonie. Każda funkcja kierownicza w życiu społeczno-gospodarczym podlega ocenie i z tym każdy podejmujący ją musi się liczyć.

S.Z.: — O ile mi wiadomo, był Pan jednym z największych, spośród łomżyńskich władz, entuzjastów odnowy. Jakże refleksje udzielają się Panu teraz, już po kilkunastu miesiącach trwania tego procesu?

W.R.: — Na proces odnowy bardziej patrzę z pozycji działacza gospodarczego niż politycznego, chociaż gospodarzę od polityki trudno rozdzielić. Nadal opowiadam się za jej zdrowym nurtem. W obecnej sytuacji chaos wywołać jest bardzo łatwo, ale nikomu z Polaków pożytku on nie przyniesie.

S.Z.: — Czego Panu życzyć w tych trudnych i ciekawych czasach?

W.R.: — Chyba tego samego, co każdemu mieszkańcowi kraju. Demokrację już mamy, ale przydałoby się więcej chleba i świadomości, że nikt za darmo nam tego chleba nie da.

S.Z.: — Gorąco dziękuję za rozmowę.

STANISŁAW ZIELIŃSKI
Pot: GABOR LÖRINCZY

Szanowny Panie Stanisławie, cieszę się, że pisząc te słowa dotrzymać mogę danej Panu obietnicy. List „zza rzeki” obiecałem w lipcu, ale rozumiem Pan, że nie mogło to nastąpić przed tym, co dzisiaj, w poniedziałek, dwudziestego, zmierzają ku zakończeniu w Warszawie. Nie powiedziałem tego w rozmowie, ale przecież nie tylko ja i Pan, lecz bardzo wielu Polaków wiedziało, że od przebiegu tego Zjazdu zależeć będzie sens robienia lub nierobienia czegośkolwiek. Mogło być i tak, że nie byłoby po co brać pióra do ręki.

Jest inaczej. Jest szansa, że nie roztrząskamy się o dno. Nasze spadanie, nurkowanie, przekształcanie możemy w lot sterowany. Po części dosłownie przez samych siebie, a częściowo dzięki temu, że możemy utożsamiać się z niektórymi spośród tych, którzy zgodzili się sterować, stając do wyborów. I wygrali. Kania, Porębski, Rakowski, Siwak to czwórka ludzi, którym — wśród innych — mogę powierzyć rządy mojej partii w moim kraju. Pan zapewne innych widzi dla siebie reprezentantów, a ktoś trzeci jeszcze kogo innego, kto najpełniej wyraża jego właśnie. Jeśli te różne przedstawicielstwa obejmują większość wyborców i, rzecz jasna, tworząc jedno ciało, nie działają przeciw sobie — możemy mówić o demokracji, o władzy z woli mas. A przynajmniej mającej ich sympatię. Z ludźmi wybranymi na Zjeździe sympatyzuje przecież także wielu nie należących do PZPR lub w ogóle bezpartyjnych, więc myśl o masowości sympatii jest chyba na miejscu. Świadomie używam tego słowa o łacińskim rodowodzie, oznaczającego współuczucie, bo ono właśnie stwarza właściwe psychiczne środowisko, w którym rozwijają się inne emocje i krystalizują racje.

Sympatia potrzebna jest wybranym i wybierającym do władz. Musi jednak w praktyce życiowej przekształcić się w powiązania silniejsze — przez rozum — i mniej zawodne; inaczej skończy się rozczarowaniem, obojętnością, a nawet „brudzącą” obie strony nienawiścią. Pamiętam (bodażę z „Przekroju”) rozmowę z krakowskim krawcem, obszywającym od kilkudziesięciu lat polskich polityków i dyplomatów, który na pytanie, jak jego zdaniem ubierał się Edward Gierek, odpowiedział z ubolewaniem: „Niestety, dobrze”.

Sytuacja przeciwna jest równie frustrująca, choć mniej zwracamy na nią uwagę, gdyż dotyczy jednostek; ale kierować ludźmi, do których nie czujemy sympatii czy wręcz niesympatycznymi, jest rzeczą skazaną na niepowodzenie. Nie tak dawno, w lutym chyba, z ust wysokiego funkcjonariusza usłyszałem, że jeśli nadal będziemy (jako społeczeństwo) tacy niesympatyczni, to grozi nam strajk rządu. Nie był to dowcip. I dobrze, bo mamy nowy rząd, który nie ma zamiaru strajkować. Za to my sami zaczynamy być zmęczeni tym, co umownie nazwałem brakiem sympatyczności.

U nas, za rzeką, ludziom nadojdało szcucie na siebie różnych środowisk i załóg czy — objawiane w nie najmądrzejszy sposób — nagłe

LISTY ZZA RZEKI

spadanie

znicięcipliwienie. Głupcami nazwano mieszkańców pewnej wsi, którzy na znak protestu przeciw brakowi

papierosów zaprzestali dostawiania mleka i spasali je świniami. Jednak i miejscowa władza nie zarobiła lepszej oceny. Jedną z cech sympatyczności jest posiadanie autorytetu, budzenie pewności i zaufania. U nas wyraźnie tęskni się już do władzy tak właśnie sympatycznej.

General na pewno budzi sympatię. Zdaje się być wyposażony dobrze w wyzwalające ją cechy, szczególnie po niedzielnym wystąpieniu na Zjeździe, ale general to nie cała władza. Chociaż nie tylko tu, za rzeką, wielu chciałoby, żeby tak było. Z wygody, bo wystarczy wykonywać polecenia; z przyzwyczajenia do bezwzględnej szarpiotryzacji się „na górze”; a dopiero gdzieś na spodzie myślenia — z potrzeby porządku.

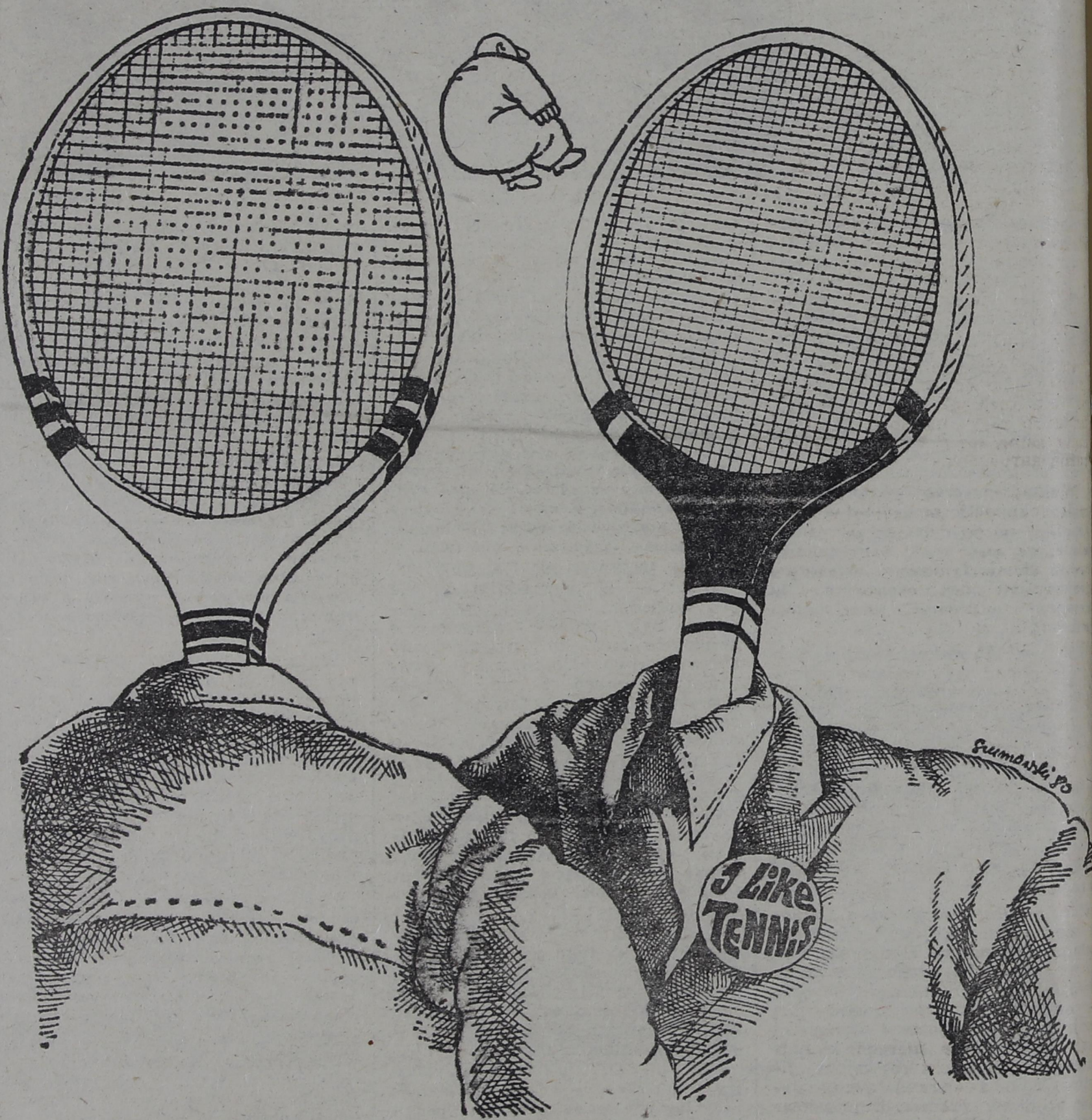
General Jaruzelski próbuje nowej, nie tylko w Polsce chyba, formy rządów: nie dyktatury wojskowej, ale umundurowanej perswazji. Dotąd w wielu dziedzinach i działaniach

wojsko namawiane było do wycofania cywilów, może więc stało się to koniecznością, nie wyłączając trydu kierowania krajem. Byle nie na wszystkich szczeblach i nie wszystkich szarżach, bo kaprali w gminie, nawet na posadach wojewódzkich mamy już dosyć (oczywiście, cywilnych kaprali i do tej metafory włączyć z armii przedwrześniowej).

To tyle, Panie Redaktorze, aby rozpychać się zbytnio na gościnnych ławach. A swoją drogą mogę dodać, że sąsiadki moje tu, za rzeką, uśmiechnięte, co znaczy — kapusi dobrze sprzedane (wczesna, wczesna), ogórki, cenę trzymają, pomidorki czerwienią się niezgorzej. Dzięki temu i mężczyźni przed znowami zatrudnienie — poza staniem w kolejkach po wódkę i chleb (kolejność właściwa) — mają. A to góra, raz zbudują, a to płot z siatki w miejsce krzywych sztachetek ustawia. Jak pan widzi, i u nas trochę po nowemu. Pozdrawiam —

HENRYK GAŁA.

Za rzeką, 20 lipca 1981 r.



Rys. Grzegorz Szumowski

NA PIĘCIOLINII

Sezon ogórkowy trwa. Nie wiem, kto wymyślił to pojęcie, i wiedzieć nie chcę, natomiast ciekawi mnie argument o wyższości urlopów artystów w lipcu i sierpniu nad wyjazdami chociażby w lutym. Pogoda u nas zwykle jakby mało tropikalna, w domu siedzi się przed telewizorem, więc dlaczego nie można siedzieć w sali koncertowej? Ale nikt się nad tym nie zastanowił, więc na dwa miesiące zakłada się ciężkie kłódki na drzwiach teatrów, filharmonii i scen estradowych, jakby naszej kulturze nie dosyć dano w tylek przez minione dziesięciolecie i to — jeszcze jedno — wakacyjne wypicie się na nią nie miało znaczenia. A przecież jeździmy w letnim sezonie do różnych miast i mamy wówczas jedyną okazję przekonać się, jak grają w Lublinie, co leci w Krakowie, czy Olsztyn jeszcze się trzyma. Nic z tego; muzycy

z nawiedzanych grodów leżą sobie wygodnie nad Bałtykiem albo — najczęściej — tyrają w pocie czoła w podrzędnych zespołach w RFN albo innej Holandii.

Sezon ogórkowy na całym świecie związany jest z nadzwyczajną aktywnością kulturalną. Odbywają się wówczas festiwale jazzowe, rockowe i muzyki poważnej; najbardziej znane zespoły występują w mniej lub bardziej popularnych kurortach, bowiem istnieje logiczne uzasadnienie takiego działania. Tymczasem w Łomżyńskim pusto, w Białymstoku atrakcją (jedyną) jest występ chałturników dyskotekowych, sprowadzanych za ciężkie pieniądze, czyli „Goombay Dance Band”, którego „Sun of Jamajka” wychodził mi już boki i uszami

dzięki telewizji, ponieważ ta założyła, że ludzie to lubią. Ludzie lubią, bo muszą; alternatywę stanowi dla nich sezon ogórkowy.

Rozróżnienie w oszczędzaniu na kulturze kazał zlikwidować w tym roku festiwal Interwizji w Sopocie. Myślę, że zrobiono dobrze, chociaż nie najlepiej. Nie najlepiej dlatego, że w zasadzie nie dano niczego w zamian. Afera sopocka (tak bowiem to zawsze nazywałem, gdyż nigdy nie wiedziałem, o co tam właściwie chodzi) kosztowała masę dolarów, płaconych przez telewizję takim chociażby gwiazdom, jak Roussos; teraz telewizja nie ma nawet na zakup filmów, więc co tu mówić o Roussosie.

Sezon urlopowy minie i znowu wszyscy zaczniemy oczekiwać wy-

darzeń artystycznych. Sądę, że nie należy spodziewać się zbyt dużo. A może nawet mniej niż dotychczas, gdyż w Polsce zostało niewiele artystów estradowych i filharmoników. Coraz dostaję widokówkę od jakiegoś znajomego flecisty lub gitarzysty: to z Monachium, to z Malmö, to z Australii. Jak tak dalej pójdzie, to zostanie tylko Krzysztof Krawczyk, który tak się pośliznął w USA, że chyba więcej nie będzie tam startował, i — ewentualnie — Irena Santor, bo ona lubi być tu. Na „Tercet Egzotyczny” nie ma co liczyć, natomiast Janusz Laskowski wrócił wprawdzie niedawno ze Stanów Zjednoczonych, ale wiadomo, co mu jeszcze odbije?

JAN JANUSZEK





Moje dzieciństwo było ciężkie. Miałam już rok ale mimo to jeszcze nie potrafiłam muwić i chodzić. Miałam półtora roku zaczęłam stawiać pierwsze kroki. Nasz dom stał się niemożliwy do mieszkania gdyż w nim wyłobliła sobie woda dziurę w suficie. W jednym rogu zaczęła spadać taką siłą i łoskotem. Woda w pokoju uniemożliwiła chodzenie. Na ścianach było bardzo zimno zupełnie mroź.

2 razy było spalone nasze gospodarstwo, było bardzo ciężko nie mieliśmy gdzie spać po spaleniu mieszkaliśmy u sąsiadów a tagrze u babci na kolonii tj. mojej mamy, mamy. Spaliło nam się prawie wszystko, w gospodarstwie nic nie pozostało. Było bardzo ciężko się dorobić. Na szczęście u sąsiadów był wolny pokój, słoneczniejszy i szerszy, meble na szczęście się nie spaliły mieliśmy trochę osobistych rzeczy. Sąsiadka pomogła nam się przenieść i leżałam na suchym miejscu. W chwili się obudziłam otworzyłam oczy i jak bym chciała coś powiedzieć.

Później byłam już starszą dziewczynką, i zrozumiałam co to znaczy żyć. Byłam małomówna, wszystkiego się bałam, w klasie byłam mało aktywna, jedynie spiewać umiałam z muzyki miałam piątki. Nie lubiłam spacerów wolałam siedzieć w domu. Gdy inne koleżanki spacerowały po szosie kiedy chciała mama mnie ubrać krzyczałam. Zawsze szłam na spacer z awanturą. Przebyć długo na spacerze, to oznaczało nie mieć w domu czym karmić dzieci, a zostawiając dzieci i puścić to moja mama zareagowała krzykiem.

Mając 4 lata mama zaczęła mi kupować różne książki w których nie było wiele obrazków a czytania bardzo dużo. Taka książeczka wystarczała mi na długo. Powoli podrasłałam domagałam się żeby mi powiedziano co to jest to lub owo na obrazkach jak to się nazywa. To też dużo razy mamusia zostawiła mnie samą na podłodze wyscieloną różną garderobą.

Później zaczęłam piąty rok i zaczęłam chodzić do szkoły w szkole uczyłam się bardzo dobrze. W moich marzeniach szkoła jest bardzo fajna. Chociaż nie ma pięknie jeszcze urządzonych klas szerokich korytarzy kolorowych telewizorów. Wszystkim w niej dobrze. Ale uczniowie nie są zgrani są teraz w naszej klasie tzw. podlizusy, złodzieje, samoluby. Chłopcy dokuczają dziewczynom. A dziewczyny się kłucą z chłopcami o byle co. Dziewczyny udają damy nie chcą się odzywać. Jak kto coś nie umie to wyśmiewają się i podnoszą palec do odpowiedzi. Chciałabym aby dziewczyny nie skażyły się na chłopców a chłopcy grzecznie z nimi porozmawiali żeby nie było samolubów. Wśród uczniów dobrych i różnych opryszków złodziejów wśród tych gorszych żeby na przerwach skończyły się gonitwy, wżask rozbijanie młodszych dzieci. Największym moim marzeniem to zgrana klasa, ale czy realne, dziewczyny wcześniej dojrzewają i są poważniejsze od chłopców i właśnie na tym tle powstaje niezgoda. Lubiałabym szkołę w której nauczyciele są mądrzy, poważni, sprawiedliwi dobrzy. Gdy ktoś nie umie rozwiązać zadania. Natomiast koleżdy starają się mu jakoś pomóc. W naszej klasie niestety, lepsi uczniowie wyśmiewają się podnoszą ręce do odpowiedzi. Wtedy ten przy tablicy jeszcze gorzej się czuje. Chciałabym żeby dziewczyny były dobrymi koleżankami. Ale koleżdy zawsze starali mi się jakoś pomóc. Gdy jakiś chłopiec mi pomógł to zaraz wyśmiewali go mężem i żoną.

Zbiórki charytatywne były zawsze w szkole podstawowej po prostu nudne. Marzyłam w szkole podstawowej o drużynie w której użadza się dużo różnych gier, zabaw terenowych, zawodach sportowych i różnych konkursów zręcznościowych. A tego co piszę prawie nie było. Toteż zbiórki dawniej były nie atrakcyjne i nudne. Marzyłam o tym aby ZHP zorganizował więcej wycieczek i biwaków. Choćby jednodniowych. Zapoznać nas z zabytkami chistorycznymi i ciekawymi ludźmi z okolicy.

Nie lubiłam zawsze szkoły i ten problem zawsze działał mi na nerwy. Wszystkie lekcje były bardzo

długie a przerwy bardzo krutkie. 2 lata temu ukończyłam szkołę podstawową. Straciłam wszystkich koleżanek i kolegów. Czasem chcę z kimś pogadać, zwierzyć mu się. Razem z nim zastanowić się nad różnymi rzeczami. Teraz mi brak takiego kogoś. W listopadzie kończę 16 lat.

Bardzo lubię bealistów Quceem i Pink Floyd. Interesuję się w tej chwili dobrą piosenką, aktorstwem, teatrem, fotografią dobrą książką, sportem. Chociaż w sporcie nie je-

nuję na przyszłość. Tagrze szukam towarzystwa. Chcę dzielić się z kimś swoimi myślami. Nieraz z rzyczliwości zwracam chłopcu uwagę żeby nie palił papierosów nie używał słów niekulturalnych i żeby do mnie i do koleżanek odnosił się z szacunkiem. Mój chłopiec potrafi docenić te uwagi i zaczyna pracować nad tym by się podciągnąć by stać się leprzym.

Zwracam uwagę na siebie że coś się u mnie zmienia w moim zachowaniu. Lubie gromadzić zdjęcia

się już malować aby jeszcze ładniej wyglądać.

W moim wieku między dziewczynami a chłopcami powstają wzajemne sympatie. Lubie i spotykam się z chłopcami lubię z nimi zatańczyć na zabawie, posłuchać muzyki, piosenek, porozmawiać. Darzą mnie wielką sympatią. Bardzo łatwo wierzę w każde ich słowa. Podoba mi się moje oczy, głos, ubranie, nie dostrzegają wad i cech ujemnych. Ja zawsze byłam gotowa zaangażować się całym sercem w chłopca sympatię. To wszystko świadczy o tym, że przestaję być dzieckiem. A staję się jakby dorosłym człowiekiem.

Przemiany jakie u siebie dostrzegam wymagają odemnie wiele roztropności i czujności staję się dojrzała muszę nauczyć się kierować sobą a zwłaszcza uczuciami. Jakie we mnie budzą. Odemnie w pewnym stopniu zależy jaki będzie chłopak. Ktorego bardzo lubię. Niekturzy chłopcy będą chcieli popisać się przedemną. Będą chcieli mi zaimponować. Zdobyć moje uznanie i podziw. Jeśli będę stawiać wysokie wymagania to chłopiec który darzy mnie sympatią będzie starał się podciągnąć, być leprzym. Zrobić wszystko byleby się przypodobać. Jestem odważna i stanowcza. Żądam od chłopca szacunku dla siebie. Potrafię zachować właściwy dystans w spotkaniu z chłopcem. W tym właśnie przejawia się roztropność i dojrzałość. Nie obawiam się że tak postępuję utracę chłopca jeśli on istotnie nie dorusł do moich wymagań lepiej niech sobie odejdzie. Znajdę sobie leprzego bardziej wartościowego chłopca.

Na straży prawdziwej miłości dwójga ludzi dobra, rodziny i dzieci stoi szuste przykazanie „nie cudzousz”. Przykazanie to wymaga ode mnie opanowania popędu seksualnego. Lubie małe dzieci. Chętnie je bawię. Jest to cecha macierzyństwa która się we mnie rozwija. Ja w przyszłości jeśli wybiorę drogę małżeństwa. Będę miała swoje dzieci. Miłość bowiem która się we mnie budzi dąży do wzrostu i takiego rozwoju. Aby w przyszłości mogła wypełnić rolę dobrej żony i ofiarnej matki.

Rola matki nie jest łatwa przekonałam się o tym obserwując choćby swoją matkę czy inne kobiety. Moja matka musiała troszczyć się o to aby w domu był ład i porządek. Aby dzieci miały co jeść i w co się ubrać. Wielkim powołaniem mojej matki było wprowadzenie dziecka w świat. Wiary nauczanie dzieci modlitwy. Od niej w dużym stopniu zależało czy dzieci będą religijne. To wszystko wymagało trudu i wysiłku. Oczywiście nie jest w tym osamotniona. Moi rodzice złączeni sakramentem małżeństwa i prawdziwie kochający. Będą wspólnie ponosić trudy, wychowywać dzieci. Rodzina w której jest matka i ojciec ma stać się małym kościołem w którym będzie kwitnąć wzajemna życzliwość, dobroć, ofiarność i poświęcenie. W niej mają się wychowywać dobrzy członkowie kościoła państwa i rodziny. Znam i takie rodziny które są skruczone a nawet się rozpadają dając się to w największą krzywdę dla swych dzieci. Nie chciałabym aby taki los spadł na moją przyszłą rodzinę. Jerzeli w tych sprawach będę miała wątpliwości to będę się starać porozmawiać o tym z kimś dorosłym do kogo mam zaufanie. Morze to być moja matka, wychowawczyni, kapłan czy starsza roztropna koleżanka. Natomiast wobec moich koleżanek które potrafią z tych spraw tylko żartować będę się starała odważnie zająć właściwe stanowisko.

Mam różne rzeczy i ubranie używam ich czy mogę z nimi robić co mi się podoba np: zniszczyć, podarować, sprzedać. Nie, jestem jeszcze zależna od rodziców. Muszę się liczyć z dobrem całej rodziny. Moi rodzice posiadają wiele innych rzeczy, warzniejszych niż moje. Człowiek nie żyje na ziemi sam żyje i pracuje wraz z innymi. Ja w tej chwili zależę tylko od rodziców, rodzina to społeczeństwo w którym żyję. Bardzo proszę o nieujawnianie nazwisk i imion.

URSZULA z Tarnobrzskiego
(lat blisko 16)
Fot. GABOR LÖRINCZY

figlarna ortografia



czyli język prawie polski

stem najleprza. Moją prawdziwą pasją jest psychologia. Bardzo lubię i lubię zastanawiać się nad postępowaniem ludzi. A czasem denerwowałam tym swoje koleżanki i kolegów którzy padali ofiarą jakichś rozpatrywań. Umiejętnością pomagając w zmartwieniach tak przypuszczają moje koleżanki i często zwierzały mi się ze swoich zmartwień. Ja jestem zamknięta, wszystkie sprawy które dotyczą tylko mnie bezpośrednio analizuję w pozycji zamkniętej. Moim ulubionym kompozytorem jest Fryderyk Hopin.

Teraz mieszkam na wsi. Chodzę do Zasadniczej Szkoły Rolniczej. Znam siebie doskonale i wiem że dla miłych potrafię być miła. Jestem młoda i szukam kogoś bliskiego. Szukam kogoś z kim mogłabym porozmawiać, o swoich sprawach, o czym myślę co zamierzam, co pla-

znanych piosenkarzy i aktorów filmowych. Mam swoje sekrety. Często z wielkim zainteresowaniem o czymś rozmawiam. Jednak rozmowę tę natychmiast przerywam. Gdy zbliża się ktoś starszy. Zdarzało się że w szkole na przerwach lub na lekcjach pisałam listy do chłopców. A inni piszą pamiętniki. To wszystko i mnie interesuje i dla mnie jest bardzo warzne. Dotyczy to przecież spraw sympatii a w końcu miłości chłopca i dziewczyny. Przestałam się interesować zabawami które tak bardzo lubiłam w dzieciństwie. Obecnie chętnie przebywam z koleżankami i kolegami. Jnaciej patrzę na chłopców. Nie mówię o nich że są źle wychowani. Przeciwnie dostrzegam w nich wiele cech pozytywnych. Staram się im podobać. Więcej czasu poświęcam na ładne uczesanie, gustowne i modne ubranie. Czasem próbuję

pokolenie



JULIUSZ
ŚWIREDOniechciany
laureat

— Prasa centralna z 22 lipca doniosła: „Z okazji Święta Odrodzenia Polski zostały przyznane nagrody ministra Kultury i Sztuki I i II stopnia za twórczość artystyczną i działalność w dziedzinie upowszechniania kultury. Oto lista laureatów tegorocznych nagród: [...] Kazimierz Uszyński — II stopnia za działalność na rzecz rozwoju muzealnictwa i ochrony zabytków oraz upowszechniania kultury, a zwłaszcza kultury regionalnej”. Nie jest Pan zmęczony gratulacjami z tego powodu?

KAZIMIERZ USZYŃSKI: — Z kraju mam ich faktycznie dużo. To cieszy. Jeszcze więcej pytań: „Ile dał forsy?” Ale z terenu województwa nie dostałem gratulacji. W lokalnej prasie nie było o nagrodzie nawet wzmianki, chociaż tydzień przed jej przyznaniem red. Franciszek Piątkowski z „Gazety Współczesnej” robił ze mną długi wywiad.

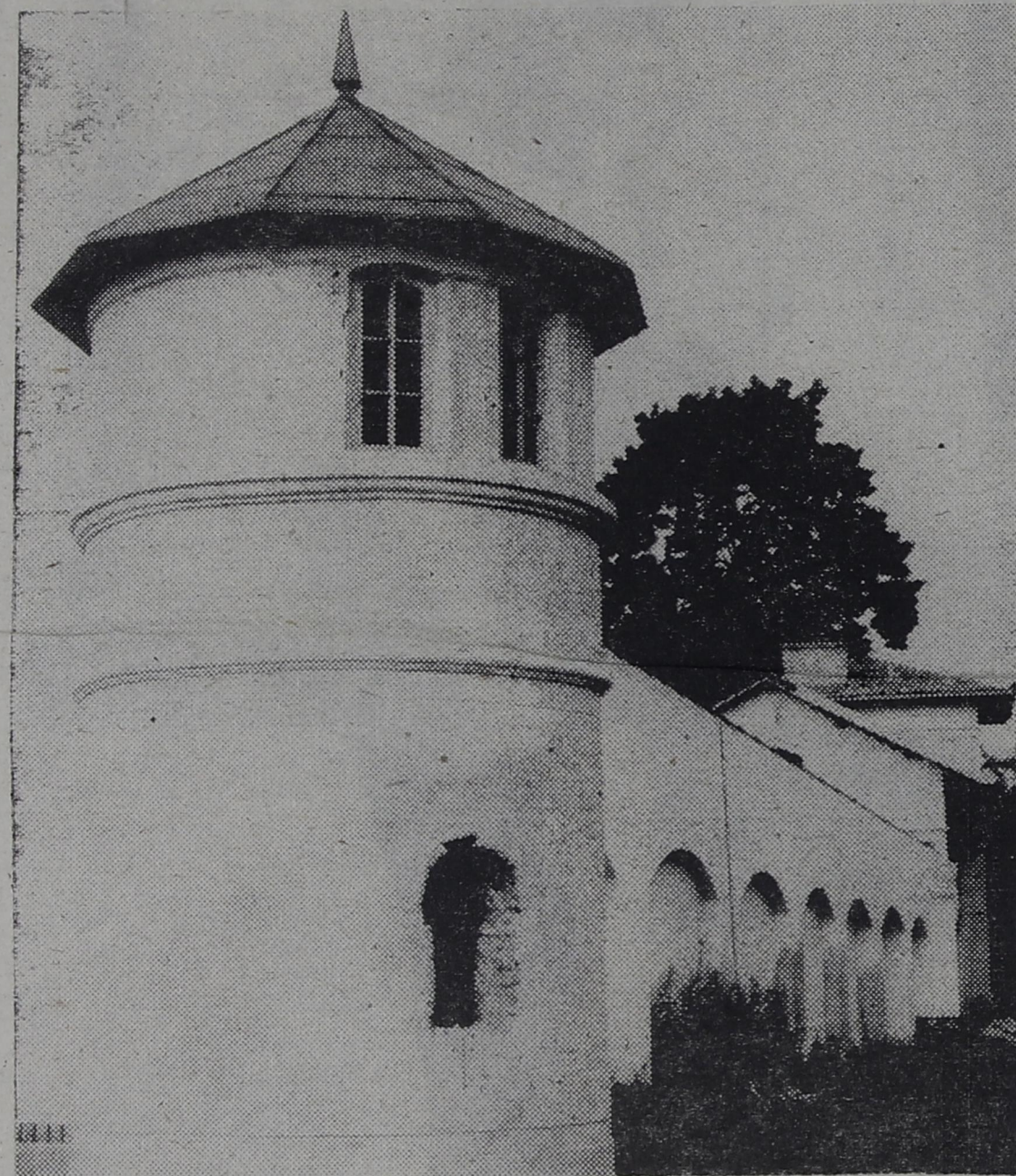
— Włec propozycja przyznania Panu nagrody nie wyszła od władz wojewódzkich?

K.U.: — Myślę, że zrobiła to Komisja Opieki nad Zabytkami Zarządu Głównego PZZK przy współudziale Departamentu Ochrony Zabytków Ministerstwa Kultury i Sztuki. Jestem przeświadczony, że nie stało się to z inicjatywy województwa. Przez lata dział terenowy „Gazety Współczesnej” wnioskował o przyznanie mi jej dorocznej nagrody i przez trzy lata czynniki wojewódzkie skutecznie torpedowały te propozycje. Dlaczego, nie wiem.

— Wypadłoby w związku z tym poinformować Czytelników, jak doszło do Pana spotkania z dziedziną aktywności zawodowej i społecznej, uwieńczonej nagrodą, i jaki miała ona przebieg.

K.U.: — W szkole podstawowej (a wrócili w średniej) zaczęły się moje ciągoty do rysunku. Chciałem studiować architekturę, potem to pragnienie zmieniło się w historię sztuki. Studiowałem ją na KUL-u w Lublinie i osiągałem chyba dobre rezultaty, skoro na ostatnim roku przyznano mi stypendium naukowe. Studiowałem zresztą rzetelnie, wiedząc, że jako absolwent KUL-u będę mieć kłopoty z pracą i moim autorem może być tylko fachowość. Był to przecież początek roku 1956. Na kłopoty nie trzeba było czekać. Po napisaniu pracy dyplomowej z historii architektury baroku u prof. Piotra Bohdziewicz otrzymałem ofertę z Muzeum Okręgowego w Lublinie. Półoficjalnie dyrektor lubelskiego muzeum obiecała mi stanowisko w Zamościu, ale bez podania, od kiedy będę mógł tam zacząć pracę. Ponieważ miałem rodzinę w tutejszych Bogutach, na razie wybrałem się do niej, szukając jednocześnie jakiegokolwiek zajęcia. Dnia 1 sierpnia 1956 roku znalazłem się w zakładzie mleczarskim w Ciechanowcu, przedstawiciele Zjednoczenia Przemysłu Mleczarskiego oferowali mi podwójne pobory za pozostanie w mleczarni. W międzyczasie prysły nadzieje na Zamość; domyślałem się, z jakich przyczyn. W ciechanowieckiej szkole byłem nauczycielem rano, a po południu jeszcze przez trzy miesiące musiałem funkcjonować w mleczarni. W szkole dano mi nauczanie fizyki i chemii, a na osłode — godziny dodatkowe z rysunku. Zapraçałem znaleźć wreszcie okazję do osiągnięcia satysfakcji z posiadanego wykształcenia i zainteresowań historią sztuki. Tak się zaczęło moje rozglądanie za dawnymi obiektami. Zgłosiłem się wówczas do PTTK na społecznego opiekuna zabytków. To był pierwszy krok. Drugi zrobiłem niedługo potem. Zaświadała mi wtedy myśl, by utworzyć w Ciechanowcu izbę regionalną. Te ciągotki, a przy tym mój młodzieńczy bunt przeciwko ma-

razmowi życia kulturalnego w Ciechanowcu sprawiły, że z grupą młodych ludzi postawiłem na sesji MRN-u wniosek o utworzenie Towarzystwa Miłośników Ciechanowca, pierwszego towarzystwa społeczno-regionalnego w ówczesnym województwie białostockim. Nie chciało go zarejestrować. Był wszak rok 1962. Dzięki pomocy życzliwych ludzi w końcu działalność tę zalegalizowano. Podałem myśl, by w ramach Towarzystwa utworzyć sekcję historii i ochrony zabytków. W programie jej działania umieściliśmy dwie sprawy: dopingowanie władz do remontów i ochrony zabytków oraz tworzenie muzeum. Miało ono służyć jedynie potrzebom lokalnym.



Od roku 1963 ruszyły pierwsze prace: gromadzenie zbiorów kultury materialnej wsi. Dwa lata później podjęliśmy decyzję o odbudowie (spalonego w 1941 r.) pałacu po hrabim Michale Straszewskim. W roku 1968, w końcowej fazie odbudowy zabytku, Towarzystwo nie było już w stanie podjąć rozmachowi zadań rozwojowych. Muzeum zostało przekazane Urzędowi Miasta, a ja stałem się jednoosobowym personelem muzeum, jego kierownikiem organizacyjnym. W następnym roku miałem już pracownika fizycznego i tak stopniowo liczba osób wzrastała aż do dwudziestu pięciu. Pracowałem przy tym nadal w szkole, prowadziłem w liceum wychowanie plastyczne w tzw. niepełnym wymiarze godzin; wszedłem też do podkomisji wychowania przez sztukę przy ZG ZNP, na której czele stała profesor Irena Wojnarowa. Zacząłem wówczas myśleć o doktoracie. Operując metodą eksperymentalną chciałem zbadać współdziałanie między szkołą a muzeum w wychowywaniu przez sztukę. Niestety, nie udało się. Zachorował dyrektor szkoły, Stanisław Rutkowski, i musiał odejść z pracy. Jego miejsce zajął Jerzy Pacholski, serdeczny kolega inspektora oświaty w siemiatyckim Kuratorium, Eugeniusza Brzozowskiego, któremu naraziłem się jako członek komisji oświaty WRN-u, wymuszając na nim podjęcie remontu i adaptacji starego budynku szkoły na internat liceum w Ciechanowcu. Starcie nasze było ostre i moja w nim wygrana. Obaj panowie skorzystali z przepisu o możliwości zwalniania nauczycieli zatrudnionych w niepełnym wymiarze godzin i nie tylko mnie zwolniono, ale wręcz za-

kazano nauczania. O doktoracie nie mogło być mowy. Z chęci wychowywania przez sztukę zrodził się jednak w roku 1972 ośrodek plenerowy dla profesjonalnych artystów. Uczestniczy w nim, w charakterze obserwatorów, ciechanowiecka młodzież; dyskutuje potem z artystami o ich dokonaniach. Wracając do muzeum; kiedy w roku 1970 przenieśliśmy zbiory do odrestaurowanego pałacu, nie mógł ich pomieścić. To był impuls do nowych działań. Zaczęło nam się marzyć, aby przejąć na bazę lokalową dla muzeum 17 hektarów przypałacowego parku i budynki podworskie: stajnie, powozownię, oficynę i młyn wodny. Nie bardzo wierzyliśmy wówczas w możliwość sprostania temu zamysłowi.

— Mówi pan w liczbie mnogiej; kto, oprócz Pana, działał w tej sekcji?

K.U.: — Na szczególne wspomnienie zasługuje dr med. Paweł Olszewski, wielki społecznik i człowiek cieszący się tutaj olbrzymim autorytetem, którego byłem prawą ręką. Pracował z nami autentyczny miłośnik Ciechanowca, pierwszy prezes Towarzystwa, Marian Ba-

przez kilka miesięcy pełniłem, polecenia wojewody, funkcję wojewódzkiego konserwatora zabytków, przy jednoczesnym wykonywaniu dotychczasowych obowiązków dyrektora muzeum w Ciechanowcu. W tym czasie miałem możliwość otoczyć opieką zabytki nieruchomości, m.in. zorganizowałem seminarium naukowe, dotyczące koncepcji tworzenia prywatnych domów letniskowych z zabytkowych budynków wiejskich jako środka ratowania zabytków bez użycia funduszy państwowych. Wiele takich zaadaptowanych domów już użytkują prywatni właściciele, następne są w toku przystosowywania do potrzeb rekreacyjnych.

— W uzasadnieniu nagrody jest jeszcze mowa o upowszechnianiu kultury regionalnej.

K.U.: — Jak mówiłem, zaczęło się od tworzenia towarzystwa regionalno-społecznego, a w jego łonie — od prac dotyczących kultury regionalnej. Udało się przywrócić tradycję brańskiego tkactwa dwuosnowowego. Co dwa lata organizujemy konkurs na te tkaniny. Współdziałamy z zespołem „Podlaskie Kukułki” z Bielska Podlaskiego, któremu dostarczamy repertuar regionalny i zapewniamy korektę etnograficzną. Organizujemy konkursy gry na najprostszym instrumencie dętym, trąbce pasterskiej, zwanej ligawką. Od kilku lat staramy się zdopingować naszą kinematografię do głębszego podejmowania problematyki wiejskiej. W tym celu urządzamy „Agrofilmowe Wiosny”, podczas których spotykają się aktorzy i reżyserzy filmów o wsi z odbiorcami: wiejskimi pracownikami kultury i rolnikami. Niestety, świat filmowy niezbyt się garnie do tych konfrontacji.

— Gdyby przyszło Panu pisać uzasadnienie ministerialnego wyróżnienia, jakby Pan je uмотywował?

K.U.: — W ogóle bym nie motywował. Byłem nim ogromnie zaskoczony. Ostatnie przykre doświadczenia z „Gazetą Współczesną” raczej wpędzały mnie w kompleksy.

— Zatem inaczej: co Pan uważa za swoje największe osiągnięcie w dziedzinach, o których rozmawiamy?

K.U.: — Chyba moje inspiracje społecznych działań na rzecz ochrony zabytków. Wciąż nimi żyję. Właśnie teraz przygotowuję referat na międzynarodową konferencję poświęconą wkładowi czynników społecznych w tworzeniu muzeów skansenowskich, która odbędzie się w Pszczynie. Będą mówić tam o warunkowaniach powodzeń w społecznym działaniu na rzecz rozwoju muzeów skansenowskich.

— Traktuje Pan te inspiracje profesjonalnie czy również społecznie?

K.U.: — Niech pan spojrzysz na mój list do organizatorów konferencji w Pszczynie: „[...] rzekam się honorarium za przygotowanie i wygłoszenie referatu [...]”. To moja odpowiedź.

— Może zechciałby Pan także uhonorować porażki?

K.U.: — Na pierwszym miejscu postawiłbym niezrobienie doktoratu z wychowania przez sztukę. Częściowo rekompensuje mi tę stratę córka, która studiuje wychowanie plastyczne. Druga porażka: nie udało mi się utrzymać intensywności tej fajnej atmosfery, jaka cechowała Towarzystwo i którą promieniowało ono na miasto. Tu istniał nie z nazwy, ale prawdziwy front jedności narodu. Pamiętna jest sprawa, jak chciano nam w dawnym układzie administracyjnym zabrać do Siemiatycz przewodniczącego MRN-u, Józefa Przesławę, bo dysztansował splendor tego miasta swoimi poczynaniami w Ciechanowcu. Nie daliśmy. Widocznie jednak nie mogło być za długo dobrze. Wszystko zaczęło się psuć od przyjścia pana Pacholskiego, a potem — niezbyt ciekawego naczelnika.

— Pana plany zawodowe?

K.U.: — Kryzys spowodował opóźnienie o rok w zagospodarowywaniu muzeum. Chcę nadrobić straty, chociaż to niełatwe. Do 1985 zamierzam zakończyć urzędowanie ekspozycji wewnątrz pałacowych i znacznie rozszerzyć działalność naukowo-badawczą muzeum. A potem trzeba będzie poszukać innej pracy. Uważam, że tutaj powinien przyjsić ktoś z większym zacięciem naukowo-badawczym. Próbowałem odejść w tym roku; zaproponowano mi pracę w Muzeum Okręgowym w Białymstoku. Zrezygnowałem, gdy dowiedziałem się, że wejdę znów w mocno skłócone środowisko.

— Dziękuję Panu za szczerą rozmowę.

Rozmawiał: JULIUSZ ŚWIREDO
Fot. GABOR LÖRINCZY



ty o ich dalszym życiu.
Państwo **BOLESŁAWA i WIKTOR WOJEWODOWIE** z Nowogrodu związek małżeński zawarli w roku 1923. Pan Wiktor ze łzami w oczach wspomina powrót z wojska w roku 1922. Pani Bolesława nie dzieli etapów życia na szczęśliwe i dramatyczne. Najwięcej uwagi, sił i czasu poświęca zwykłej codziennej krzątaniu.

zastępca redaktora naczelnego, Nina Omelczenko – sekretarz redakcji, redaktorzy: Stanisław Zieliński, Gabor Löbinczy, Andrzej der, Bartosz Alicja Basts, Jerzy Bielecki, Jacek Grün, Wiesław Janicki, Andrzej Trela, Piotr Siedlecki, Waldemar Szulc, Andrzej Tchorewicz, tel./fax – 8532949, WYDAWCA: RSW „Prasa Książka-Ruch”, Białostockie Wydaw tel./fax – 8532949, Ogotwierdzenie: Biuro Reklam i Ogłoszeń, Red. tyg. „Kontakty” tel./fax – 8532949. Ogotwierdzenie redakcja nie ponosi odpowiedzialności. Za treść ogłoszeń redakcja nie ponosi odpowiedzialności.

K 3095-1

SZCZĘŚLIWIE kojarzy małżeństwa Biuro Matrymonialne „Mazury”, Olsztyn 2, skrytka 336. k 1466-0

MIESZKANIE dwupokojowe M-3 w Głucholazach woj. opolskie zamienie na równorzędne w Łomży. Wiadomość: Władysław Dębowska. Paderewskiego 4/6 48-340 Głucholazy. p 1219-0

KONTAKTY

MINI-KABARET
PIEKIELKO
PRZEDSTAWIA DRAMAT
ADMINISTRACYJNY
**DIABELSKIE
OBRACHUNKI**

Cztery nasze znajome diabły, ob. ob. Biebrzański, Buzański, Dojliski i Narwiański, jak za dawnych dobrych czasów, znowu spotkały się tam, gdzie jeno krze i mamory. Supraskiego, jakoś nie widać, a tu akurat świt wstawał na niebie, by znowu się schować i koń się utrudził po stepie cwałować...

DOJLICKI: Koledzy! Dzieje się ze mną coś nadzwyczaj dziwnego. Kiedy mianowicie usiądę sobie i przypadkiem zacznę myśleć, z wnętrza moich organów ścigania... to jest, chciałem powiedzieć, organów umysłowych, wydobywają się myśli w postaci wiązanej.

BUZAŃSKI: A cóż w tym dziwnego? Proza przygniata wasz organ ścigania... to jest, chciałem powiedzieć, umysłowy, który bronić się, sięga po rymy. Historia naszego piekła zna niejednego rymarza, który w chwilach ciężkich albo zgola niewyraźnych, rymnął sobie, dzięki czemu innym robiło się łatwiej. Coście tam rymnęli ostatnio? Zakładam, żeście ostatnio myśleli choć trochę mimo wszystko.

BIEBRZAŃSKI: A ja znowu uważam, że wątpliwe. Kto ma dzisiaj czas na myślenie? Trzeba rozmawiać, dyskutować, porozumiewać się pionowo i poziomo, ale myśleć?

NARWIAŃSKI: Ze wszystkich porozumień najlepsze jest, poprzeczne.

DOJLICKI: Zamknąć ryje! Właśnie ni stąd, ni zowąd zacząłem myśleć. Cholera, ale mam myśli!

BUZAŃSKI: A zatem nie gadajcie tyle, tylko transmitujcie je na żywo!

NARWIAŃSKI: Osobiście radzę zrobić jednak retransmisję. Niby to samo, ale zupełnie co innego.

BIEBRZAŃSKI: Tak czy owak całe piekło zamienia się w słuch. Walcie!

Ob. Dojliski wali ob. Narwiańskiego na tak zwany odlew. Narwiański przytomnieje.

DOJLICKI: Być albo nie być, oto jest pytanie! Trzeba nam dzisiaj dać odpowiedź na nie.

BUZAŃSKI: Odnoszę niejasne wrażenie, że skądś to już znam. Przy czym chodzi mi zarówno o treść, jak i formę.

DOJLICKI: Być może. W końcu ile jest liter w alfabecie? Zaledwie 24 czy pięć. A ile jest słów w języku? Też nie za wiele, prawda? A zatem wszystko już kiedyś zostało powiedziane i to wiele razy.

BIEBRZAŃSKI: Tak wiele to nie, ale jakieś cztery albo pięć w roku...

NARWIAŃSKI: Koledzy! Pryncypalnie stwierdzam, że z demokracją u was słabo. Dajcie się wypowiedzieć Dojlickiemu!

DOJLICKI: Nie przeszkadzać mi, hołoto jedna! Zaraz będzie Wielki Monolog.

Być albo nie być, oto jest pytanie. Trzeba nam dzisiaj dać odpowiedź na nie.

Jest li igraszka zawistnego losu, Oberwać w mordę i nie oddać ciosu?

Diabły usadawiają się wygodniej. Cd. monologu za tydzień.

WIESŁAW TOMASZEWSKI

WYKŁADY ILUSTROWANE Z HISTORII SZTUKI POLSKIEJ

WALKA O DUSZĘ



Władysław Skoczylas był ponad wszelką wątpliwość artystą bardzo polskim. Można się wahać, co to jest artysta polski, ale co do Skoczylasa ma się tę pewność, że nim był. Jako takiemu nieobce były wszelkie rozdarcia, od tych największych poczynając, a na najmniejszych kończąc. Co też się w jego drzeworytach utrwaliło.

Jako polski był też Skoczylas nawiązywał czy jak inni wołał — ludowy. Nie inaczej też prezentuje się jako autor grafiki pod wiele obiecującym tytułem „Walka o duszę”. Dusza według Skoczylasa jest świętą dziewczyną, która na pewno chce dobrze, ale jak przyjdzie co do czego, to ani w prawo, ani w lewo, co niechybnie grozi duszy utratą nie tylko świętości, ale także dziewictwa i to w okolicznościach dla duszy mało

korzystnych. Jedynym, jak widać, wyrazem duszy jest wyraz niezadowolonia skądinąd uzasadnionego. Dusza cierpi, ale to jest niestety wszystko.

Nieprzypadkowo też walory etyczno-estetyczne diabła na lewicy i anioła po prawicy są w tej walce jakby równe, szanse podobne i metody takie same — ciągnąć duszę w swoją stronę. Gdyby nie rekwizyty można by się pomylić, gdzie święty młodzianek, a gdzie cap piekielny. Całe szczęście, że diabły mają rogi, a anioły skrzydła. Na zakończenie warto również podkreślić, że rzecz dzieje się coraz bardziej w chmurach, co stanowi jeszcze jeden dowód na to, jak polski jest Skoczylas.

DOC. DR SMOLA

Sennik — przepowiednie niechybne

CIAŁO OBNAŻONE WIDZIEĆ

Chór — być w chórze i śpiewać — pomyslna zmiana; słyszeć chór — plotki

Chorego widzieć — smutek i utrapienie, ale przejdzie

Chromego widzieć — długa choroba

Chróst zbierać — ubóstwo

Chrzan — sprzeczka ze złą osobą, którą jednak pokonasz

Chustka biała — wesele; czerwona — zwycięstwo; czarna — śmierć bliskiej osoby

Chrzczyny, być na nich — nowa znajomość; zrobić chrzest — nieporozumienie rodzinne

Ciało obnażone widzieć — choroba

Ciało poranione — niebezpieczeństwo

Ciało robić — radość i zysk

Ciele widzieć — radość

Cień — troski

Ciernie — złośliwość bliskich osób

Ciężary nosić — ludzka napaść

Cmentarz widzieć — zdrowemu — odwiedzić dalekich krewnych; choremu — wyzdrowienie

Cieszyć się z czegoś — miła wiadomość

2. STAŁA SIĘ CZYNNOŚĆ

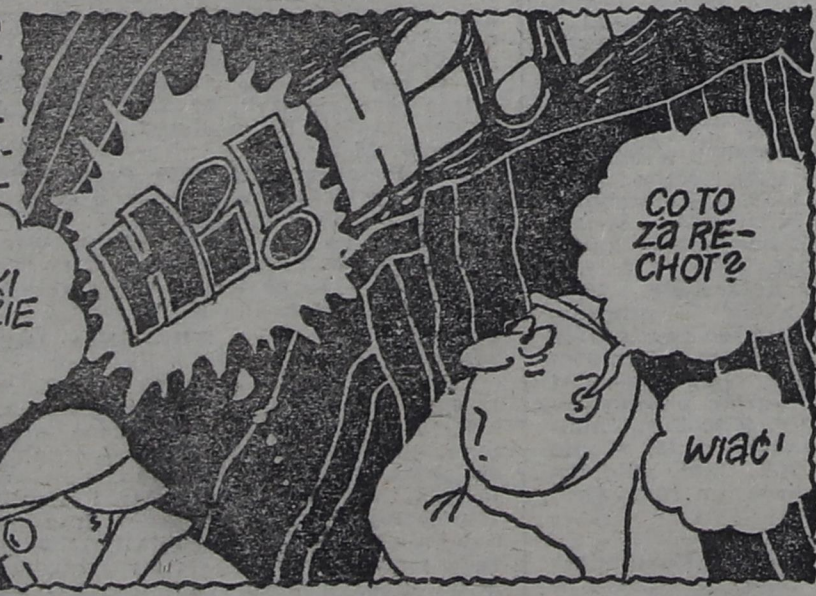
POMYSŁ:
MARCIN WOLSKI
ADAPTACJA I RYS.:
JOZEF BURNIEWICZ

W POBLIZU WSI CZARTKOWA ZNAJDUJE SIĘ STARA KOPALNIA SREBRA. NIEOPODAL TRWAJA WIERCENIA GEOLOGICZNE. NAGŁO PRZERWA, BO ZGINĄŁ W WIERCONY W ZIEMIE ŚWIDER. LEON WRÓBEL, MIEJSKOWY ROBOTNIK, TWIERDZI, ŻE TO DZIWNA OKOLICA



PIĘCIU ICH POSŁAŁO I ZADEN NIE POWRÓCIŁ. WYSŁANO ZA NIMI RATOWNIKÓW, KTÓRZY DOSTARLI DO POZIOMU 476

ICH LATARKI SĄ, GDZIE ONI?



PO CHWILI DZIELNI RATOWNICY WYGRAMOLILI SIĘ PRZED KOPALNIĘ



CDN

POKUSY

Andrzej Koziały

POKUSY

pod redakcją

POKUSY

organ samoistny

POKUSY